AS

Nr. 7
14 LUTEGO 1937 R.
CENA 40 GROSZY



MARZENIA O WIOŚNIE...
Margo, nowa gwiazda amerykańskiego filmu.

As skrzypków o sobie...

Ostatnio odwiedził Polskę słynny „król skrzypków" Fritz Kreisler. Nie pierwszej już młodości, a przecież niespożyty, gra jeszcze, jak w okresie najpiękniejszego swego rozkwitu. Tłumy wypełniały salę podczas jego koncertu. Przed samym wyjazdem udało mi się pogawędzić z nim. Powiedziałem, że będziemy tęsknili za jego grą. Będziemy szukali w programach radjowych. Gdy się dowiemy, że gdzieś gra, postaramy się „załapać" tę stację. Odrzekł, że na to niema co liczyć. Dlaczego? Oto jego odpowiedź:

— Bo dla radja nigdy nie grywałem i nie będę grywał. Nie chcę! Jestem artystą. Gra moja jest sztuką. Gdy gram, przeżywam bardzo wiele. Pragnę, aby to przeżywał również mój słuchacz. Ale muszę mieć pewność, że chce mnie słyszeć, że jest na to specjalnie nastrojony, żeby uczynił ku temu jakiś wysiłek, choćby przez pofatygowanie się na mój koncert. Mierzi mnie myśl, że nagle gdzieś podejdzie ktoś w szlafroku i domowych pantoflach do drewnianego pudełeczka, odkręci coś jakby kurek od zimnej czy gorącej wody z umywalni i „połknie" mu między reklamą pasty do obuwia i nożyków do golenia a cedułkami giełdowemi i odczytem o hodowli buraków... mój koncert...

— Ale jednak słyszałem nieraz grę pańską z płyt.

— To co innego. Kto kupuje moją płytę albo nastawia ją sobie na gramofonie, ten już ujawnił pewną wolę usłyszenia mnie. I napewno uczyni to w odpowiednim nastroju.

— Ale jednak takie utrwalanie czy transmitowanie pańskiej muzyki popularyzuje pańską grę i pańskie kompozycje. U nas np. wciąż się słyszy pańskie „Schön Rosmarin" lub „Caprice Viennois", nie mówiąc już o wesołem „Liebesfreud" lub tęsknem „Liebeslied"...

— Przyznam się panu szczerze, że takiej popularności nawet nie pragnę. Te drobiazgi napisałem kiedyś od niechcenia, a teraz uchodzą za moje „firmowe" kompozycje. Wydaje mi się, że napisałem wiele rzeczy o wiele bardziej wartościowych. Są mniej znane i mniej cenione. Zresztą, może się mylę... Może doprawdy „vox populi" ma słuszność?

— Czy pod tym względem jest wszędzie jednakowo? Czy Ameryka i Europa różnią się w ocenie pana?

— W Ameryce Południowej i Północnej co roku grywam bardzo wiele. Cieszę się w Ameryce ogromnem powodzeniem, ale wydaje mi się, że Europa mnie słuszniej ocenia. Tu Kreisler, to już wiadomo, że to ja. W Ameryce niebardzo niekiedy się orjentują i znacznie popularniejszy jest tam mój imiennik fonetyczny — Chrysler, ten od samochodów, którego nazwisko wymawia się identycznie, jak moje. Zabawna rzecz, że w Ameryce moje nazwisko wymawiają przeważnie Krisler, to zn. tak samo, jak... Chryslera w Europie. A właściwie jesteśmy obaj „Krajslerami". Jeżeli zaś chodzi o moją popularność w Europie, opowiem panu interesujące autentyczne zdarzenie z mego życia. Otóż, lubię bardzo wszelakie antyki i poszukuję ich zawsze namiętnie. Myszkuję po najmniejszych nawet antykwarniach. Kiedyś chciałem zażartować z jednego antykwarjusza berlińskiego i zarazem wypróbować jego znawstwo. Położyłem więc mego Stradivariusa na ladzie i zapytałem::

— Ile dałby mi pan za te skrzypce?

Antykwarjusz badał je przez chwilę, poczem spojrzał na mnie i krzyknął:

— To są skrzypce Kreislera! Skąd pan je ma?

I nie czekając na odpowiedź, czemprędzej schował skrzypce do kasy, a pomocnikowi kazał zaryglować wejście do sklepu i zawezwać policję. Nie miałem przy sobie legitymacji, więc był kłopot. Przekonałem upartego antykwarjusza, kim jestem dopiero, gdy mu zagrałem kilka taktów na moich skrzypcach.

— Pan mieszka zdaje się teraz stale w Berlinie?

— Tak, pomimo, że jestem Wiedeńczykiem z urodzenia i... zamiłowania. Dziś jestem bardziej, niż kiedykolwiek myślami w Berlinie.

— Dlaczego, jeżeli wolno zapytać?

— Zostawiłem tam żonę, ciężko chorą na powrotną grypę. Jestem bardzo zaniepokojony o zdrowie mojej wiernej towarzyszki życia. Mówi się, że niema teraz szczęśliwych małżeństw, a szczególniej w sferze artystycznej, a ja życzyłbym wszystkim zaznać tyle szczerego i trwałego szczęścia w małżeństwie, ile ja go posiadam. Biedaczka, tak pragnęła być w Polsce...

— Bo pewno jej jeszcze nie zna.

— Przeciwnie! Dlatego, bo zna wasz kraj i chciałaby tu wznowić niektóre nasze znajomości i przyjaźni.

— Więc państwo znają Polskę?

— Panie redaktorze, Polska to moja druga ojczyzna i punkt wyjścia mojej karjery artystycznej. Jako 18-letni chłopiec, a więc przed 44 laty bawiłem we Lwowie. Przyjechałem zasadniczo na krótko, ale tak mnie ten Lwi Gród urzekł, że wprost nie mogłem z nim się rozstać. I nie wiadomo, jakby to tam było, gdyby nie mój tamtejszy kompan i druh, Franuś Neuhauser, utalentowany pianista i wybitny akompanjator. Bardzo się przyjaźniliśmy. Byliśmy nierozłączną parą. Zwano nas: „Fritz i Franz". Nikt mi nigdy tak nie potrafił akompanjować, jak Franio. Wogóle był pod tym względem niezrównany. I tu mi się przypomina zabawny kawał, na jaki sobie pozwoliłem, gdy znakomity, zresztą, muzyk i kochany człowiek, ś. p. Stanisław Niewiadomski akompanjował śpiewaczce pani Schlesinger. Otóż opowiadałem nazajutrz po koncercie, że spisali się bardzo źle i że wcale nie mogło być inaczej, skoro ona jest „Schlechtsinger", a on „Nichwisser" (przekład nazwiska Niewiadomskiego na niemiecki)...

— Ale jakże to było z owym początkiem pańskiej karjery artystycznej?

— Narodziła się właściwie we Lwowie. O tyle, że Franuś namówił mnie, abyśmy obaj wyruszyli w podróż po złote runo do... Rosji. Tak oto z pełnemi zapału sercami, ale pustemi kieszeniami ruszyliśmy obaj „Frycek i Franek" w naszą podróż zdobywczą. Podróż tak nadwyrężyła nasze i tak szczupłe kapitały, że po przybyciu do Petersburga już nie śmieliśmy nawet za co zjeść kolacji w sali restauracyjnej, lecz kazaliśmy sobie podać coś takiego do pokoju, oczywiście, wspólnego i nie drogiego. Franio udał się do miejscowego luminarza muzycznego, a zarazem dyktatora koncertowego, by posłuchał skrzypka, jak mówił: „fenomenalnego". Mieliśmy polecenie z ambasady austrjackiej, więc tyle zyskaliśmy, że audycja się odbyła. Wypadła doskonale, bo bardzo się podobałem, ale... koncertu nie dostałem. Podobno wszystkie terminy już były zajęte. Dyrektor był jednak łaskaw zlitować się nad dwoma wynędzniałymi młodzieńcami. Dzięki niemu zostałem zaproszony do zagrania na raucie u pewnego bardzo bogatego pana. Otrzymałem za to dwieście rubli. Pycha!... Za te pieniądze pojechaliśmy do Moskwy. U tamtejszego dyrektora znów grałem i znów się podobałem, ale znów koncertu nie dostałem, bo już mieli komplet na cały sezon. Zresztą dyrektor tłumaczył, że właśnie mają śpiewać takie sławy światowe, jak Sembrich i Battistini, więc dla nas niema już miejsca. Gdy tak siedzimy z Franusiem i rozpaczamy, nagle przychodzi list od dyrektora. Battistini zachorował! Trzeba ratować lukę w koncertach, wobec czego zaproponował, abym dał mój koncert. Poszło znakomicie. Posypały się ponętne propozycje. Objechaliśmy z Neuhauserem całą niemal Rosję, wszędzie budząc ogromny aplauz i zkolei byliśmy również w Warszawie i Łodzi. W Warszawie też tak mi się podobało, że zostałem tu aż siedem miesięcy. Potem dopiero droga moja pobiegła w szeroki świat. I od owej chwili wciąż podróżuję...



— To przyjemne...

— Jak czasem. Co innego jechać dla przyjemności w dowolnym terminie, a co innego, jak ja, zawodowo i w dniu i o marszrucie o rok wcześniej już ustalonych. Co się ma z podróży, jeżeli się, jak ja np. w Ameryce Południowej niedawno, daje 24 koncerty w 31 dni? Coprawda, podróżowałem wyłącznie samolotami. Przyleciałem do Ameryki Zeppelinem...

— Odpowiada panu komunikacja lotnicza?

— Niezbyt. Choć nigdy nie dostaję w powietrzu t. zw. „morskiej choroby", to jednak źle się czuję w miarę wznoszenia się samolotu czy balonu, bo to działa ujemnie na moje ciśnienie krwi.

— Skoro pan wie zgóry, gdzie pan będzie, proszę o najbliższe plany podróży.

— Służę chętnie. Wiedeń, Budapeszt, Bukaieszt, Sofja, Ateny. Potem pojadę znów do Berlina po żonę, aby wraz z nią wybrać się na miesięczny wypoczynek na Riwierę. Oby tylko moja żoneczka była już do tego czasu zupełnie zdrowa! — zakończył rozmowę ten wielki artysta i wielki... i niezwykle sympatyczny człowiek...

L.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 7 **Niedziela 14 lutego 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 7-GO:



Z nadchodzącemi mistrzostwami świata w jeździe figurowej na lodzie staje się aktualną kwestja, kto obejmie po Sonji Henie tron mistrzyni świata. Największe szanse posiada Angielka, Cecylja Colledge, choć i jej konkurentka, Szwedka Vivi Anne Hultén nie jest bez szans. Na zdjęciu Vivi Hultén podczas ostatnich zawodów na stadjonie lodowym w Davos.

Fot. Zygmunt Borzęcki — Davos.

HAMPTON COURT PALACE

Na pograniczu Surrey, kilkanaście kilometrów od Londynu, w dzisiejszem hrabstwie Middlesex, na lewym brzegu Tamizy tonie w zieleni wiosennej wspaniały i dumny pałac Tudorów.

Nie jest to wystawiony na pokaz zabytek historyczny, który zmęczony turysta uważa za swój obowiązek zwiedzić i podziwiać. — Przetrwał wieki, a jednak nie przedstawia rozwalających się ruin.

Jest to jedyny w swoim rodzaju romantyczny pałac



Ogólny widok królewskiego pałacu Hampton Court z lotu ptaka.



Na lewo: Stara kuchnia w stanie w jakim znajdowała się w XVI wieku, w Hampton Court.

królewski pozostawiający niezatarte wrażenie ogólnej harmonji, piękna i spokoju.

Widziany z zewnątrz — od strony zachodniej, gdzie ciepły kolor czerwonej cegły, z dekoracyjnemi bramami i kominami z okresu Tudorow — późniejszej fazy rozwojowej gotyku angielskiego — daje wrażenie bogactwa i tajemniczości; od strony północnowschodniej zaś — późniejsza dobudowa renesansowa w indywidualnej interpretacji Wren'a, tego genjusza renesansu angielskiego (katedra św Pawła w Londynie jest jego dziełem), budowana była, by „przyćmić wspaniałość Wersalu" — daje wrażenie spokoju i miłej harmonji. Poszczególne fragmenty pałacu — jak brama Anny Boleyn z mottem kardynała Wolsey'a i najciekawszym w Anglji zegarem, od roku 1540 wskazującym prócz godzin i dni miesiąca — ilość dni od początku roku, eliptyczną pozycję słońca, pozycję i dni księżyca, oraz czas najwyższego stanu wody Tamizy przy Moście Londyńskim, przecudowny dziedziniec renesansowy „Fountain Court", dzieło Wrena, wnętrza: olbrzymi „Great Hall" — sala bankietowa Henryka VIII z najwspanialszym w Anglji sufitem gotyku Tudorów, najbardziej udoskonalona kuchnia wieków średnich z trzema potężnemi piecami, najstarszy w świecie i jedyny kort tenisowy z kamienną posadzką — zbudowany za Henryka VIII i pozostający do dnia dzisiejszego w użyciu — na którym grywali królowie Anglji i Francji, i o dziwo, któremu żaden z nowoczesnych kortów nie może dorównać, czy znowu dekoracje wnętrz z dziewięciu arcydziełami Mantegna, najcenniejszy skarb korony angielskiej; obrazami Rembrandta lub flamandzkich obić Triumfu Petrarki, czy wreszcie ogród kwiatowy, pokrywający przestrzeń 44 akrów oczarują turystów.

A ponad wszystko niezatarte wspomnienie pozostawia atmosfera pałacu, mury, które pamiętają 300 lat, gdzie po dziś dzień podobno ukazuje się duch Anny Seymour, Katarzyny Howard, Anny Boleyn i niańki Edwarda VI, pani Penn! A gdyby mury pałacu mogły mówić, opowiedziałyby mnóstwo niesłychanie ciekawych rzeczy o licznych, dawanych z rozmachem, właściwym tylko Henrykowi VIII hucznych ucztach, zabawach i polowaniach w przylegających lasach; o nieludzkim szale radości, jaki ogarnął Henryka po urodzeniu się długo oczekiwanego syna, o cierpieniach jego żon i możeby udowodnily, że pomimo wszystko Henryk VIII był kochającym mężem i troskliwym ojcem; o niesłychanym przepychu Elżbiety, o szczęśliwym okresie życia nieszczęśliwego Karola I, o brudnych intrygach jego syna, o Cromwellu i wiele innych rzeczy.

— — — — — — — — — —

Zdrowie wszechwładnego kardynała Tomasza Wolseya wymagało znacznie zdrowszej rezydencji niż Londyn. Równocześnie stanowisko jakie zajmował,

Poniżej: Królewska kaplica.





Na prawo: Sypialnia królowych, które zamieszkiwały rezydencję monarszą.

a przedewszystkiem pragnienie trzymania ręki na pulsie życia politycznego nie pozwalało na oddalanie się od stolicy. Wywiązuje się z tego położenia kompromisowo. Poleca najzdolniejszym fizykom wyszukać najzdrowszą miejscowość w dwudziestomilowym promieniu od Londynu, by w razie okoliczności wymagających jego obecności, mógł łatwo się tam znaleźć.

Wybór padł na lewy brzeg Tamizy w kilkukilometrowej odległości od pałacu królewskiego w Richmond.

Powstaje pałac w roku 1515. W rok później wspaniale przyjmuje kardynał króla i jego świtę.

Budowy się nie przerywa w ciągu następnych 10 lat, aż wreszcie fama o jego przepychu i bogactwie roznosi się po całym kraju i powszechnie zaczyna się mówić, że piękno pałacu Wolseya przyciemnia pałac królewski. Król czuje się niezadowolony. Lecz czekała go niespodzianka. Gdy w r. 1525 Henryk VIII zapytał swego kardynała, wówczas już kanclerza — dlaczego wzniósł tak piękny pałac, przebiegły kardynał, świadom już powszechnej zazdrości, jaką jego pałac wywoływał, odrzekł: „Py pokazać, jak wspaniały dar poddany może ofiarować swemu władcy". Pałac przechodzi wtedy na własność króla.



Powyżej: Podwórzec zegarowy w rezydencji Henryka VIII

Poniżej: Główne wejście do Hampton Court.



Poniżej: Południowy front zamku królewskiego otoczony jest wspaniałymi trawnikami.



Z przejściem w całkowite posiadanie pałacu, Henryk VIII buduje, odpowiednio do swego rozmachu życiowego, potężną salę bankietową — „Great Hall" — najwspanialszy dziś w Anglji okaz architektury Tudorów.

— — — — — — — —

Król się bawi! Na widowni życia dworskiego ukazuje się młoda i piękna córka Tomasza Boleyn i wkrótce pozyskuje miłość króla. Przekonywując się, że ambitną niewiastę pozyskać może tylko przez ślub — żąda unieważnienia małżeństwa z królową Katarzyną. W ciągu procesu traktuje Annę Boleyn otwarcie jako przyszłą królowę, którą w styczniu 1535 r. potajemnie zaślubia, a skoro tylko biskup Cranmer oficjalnie zakomunikował o unieważnieniu poprzedniego małżeństwa, odbywa się uroczystość oficjalnych zaślubin.

W tym czasie Hampton Court Palace staje się centrem życia dworskiego.

W początkach 1536 r. Anna rodzi martwe dziecko. — Nadzieje Henryka na następcę tronu zostają zawiedzione. Królowa zaczyna go nudzić. Postanawia jej się więc pozbyć. Oskarża się ją o wiarołomstwo i kazirodztwo. Następnie aresztowanie brata jej lorda Rochforda, Norris Breretona i muzyka Marka Smeaton. Pierwszych trzech się nie przyznaje do inkryminowanego przestępstwa, jednak 18 maja 1536 r. tracą głowy w Cytadeli Londyńskiej. Annę Boleyn skazuje się na śmierć. Czuje ona obrzydzenie do toporu kata i prosi o śmierć od miecza. Prośbie staje się zadość. Nie znajduje się jednak w Anglji osoba umiejętnie władająca mieczem i chętna wykonania „delikatnego" a zarazem śmiertelnego posunięcia.

Następnego dnia król poślubia Annę Seymour. W sześć miesięcy później lekarze donoszą królowi, że według wszelkiego prawdopodobieństwa dzieckiem, które wkrótce ma przyjść na świat chłopiec. — Zachodzą jednak komplikacje. W razie operacji niezbędnej dla uratowania życia dziecka, matce grozi nieunikniona śmierć. Król daje zgodę bez wahania. W kilka dni później Anna daje życia następcy tronu. Stan matki jest beznadziejny. Wobec tego w trzecim dniu w kaplicy pałacu odbywa się uroczystość chrzcin — jak zwyczaj wymaga — w obecności królowej, którą w agonji wnosi się do kaplicy na łóżku.

Poniżej: Malowidło na suficie sypialni królowej Anny.



Henryk wykazał całą nieczułość swego serca. Lubujący się w ceremonjach wszelkiego rodzaju, i tym razem korzysta z okazji: uroczystość chrzcin trwa od g. 7 wieczór do północy.

W 9 dni później trzecia żona króla odeszła do wieczności.

— — — — — — —

Z urodzeniem księcia Edwarda, Hampton Palace staje się najbardziej ulubioną rezydencją Henryka VIII.

W styczniu 1540 r. ulegając radom i namowom Tomasza Cromwella (syn kowala — wzrósł do godności wszechwładnego ministra w latach 1530—40), król poślubia Anne Cleve. Cromwell sądził, że to małżeństwo będzie największym sukcesem jego politycznej działalności, tymczasem było przyczyną jego natychmiastowego upadku. Henryk znienawidził Annę głównie z powodu jej wyglądu i nie pragnie już aljansu z protestantami. W trzy dni daje jej rozwód, w 6 miesięcy



Wielka sala bankietowa z cennemi gobelinami i trofeami myśliwskiemi.

później zatwierdzony aktem parlamentu.

W lipcu 1540 r. w Hampton Palace odbywa się skromna i cicha uroczystość zaślubin Henryka VIII z Katarzyną Howard, a w sierpniu tegoż roku ukazuje się oficjalnie w Palace jako 5 zrzędu królowa.

Katarzyna była żywa, młoda i szczęśliwa. Wkrótce pozyskuje ogólną sympatję i miłość. Zmęczony i starzejący się król czuje się przy niej bardzo szczęśliwym i odmlodniałym.

W lecie 1541 r. para królewska z wielka świta wyruszyła z pałacu na objazd północnej Anglji dla odebrania hołdów, w istocie jednak w celu spotkania się z królem Szkocji.

Po powrocie do pałacu para królewską czeka wielka niespodzianka. W październiku arcybiskup Cranmer donosi o niewierności królowej. Henryk nie chciał wierzyć plotkom: był to dla niego zbyt wielki cios.

W dniu, w którym Katarzyna Howard wstępowała do Cytadeli, głowy jej rzekomych kochanków powiewały na Moście Londyńskim: Denhama, który się przyznał (ba! przy ówczesnych warunkach technicznych „badania" oskarżonego) i Culpepera, który stwierdził, że jego jedynem przestępstwem jest bezgraniczna miłość, lecz „między nami nic nie było..." Było to jednak wystarczającem dla utraty głowy.

19. maja 1542 r. po słowach „umieram jako królowa, lecz wolałabym umrzeć jako żona Culpepera" — potoczyła się głowa Katarzyny Howard, a w Pałacu w Haunted Gallery, po dziś dzień podobno ukazuje się błagający duch tej nieszczęśliwej królowej.

Król widocznie przejmował się tem niezbyt długo, gdyż w lecie tego roku, w obecności córek — księżniczek Marji i Elżbiety — poślubia ostatnią, szóstą z rzędu królowę, Katarzynę Parr. Nie wiadomo, jaki koniec zgotowałby jej los, gdyby śmierć jej królewskiego małżonka nastąpiła kilka lat później.

— — — — — — — — —

Następca tronu, Edward VI w ciągu swego krótkiego młodzieńczego panowania, mało ma wspólnego z miejscem swego urodzenia. Również królowa Mary I. Dopiero za panowania Elżbiety (1558—1603) Hampton Palace znów staje się centrem życia dworskiego. Pałac, który w ciągu krótkiego panowania Mary I był dla niej więzieniem, staje się najulubieńszą rezydencją królewską.

— — — — — — — — —

O ile za dynastji Tudorów Hampton Court Palace był miejscem i świadkiem przepychu życia dworskiego — za Stuartów z Pałacem związane są sprawy, o nieco odmiennym charakterze, posiadające znaczenie dla historji.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia zamek staje się przez pewien czas ośrodkiem życia dworskiego. Uczty królewskie ściągają niezliczone tłumy gości z całego kraju i obcych państw. Tysiąc dwieście pokoi pałacowych nie wystarcza. rozrzuca się w parku namioty. Zaraza panująca wówczas w Anglji zabiera kilku ludzi dziennie, nie powstrzymuje to jednak ciągłego napływu nowych gości.

W styczniu 1604 r. w pałacu odbywa się Konferencja Telogiczna, znana pod nazwą „Hampton Court Conference". Był to jednak już początek walki religijnej, która nieco później, w tym samym stuleciu miała odegrać tak ważną rolę w historji Anglji.

Z wstąpieniem na tron angielski Karola I (1625—1649) Hampton Palace jest nadal ulubioną rezydencją króla, a gdy w Londynie wybucha zaraza, w pośpiechu przenosi on do Pałacu swój dwór i wydaje proklamację wzbraniającą na przeciąg trwania zarazy wszelkiej komunikacji z zamkiem.

W r. 1642 przebywa tu król już poraz ostatni jako monarcha. W sierpniu 1647 r. powraca jako więzień. Po trzech miesiącach ucieka na wyspę Wight. W dwa lata później odbywa się jego egzekucja w White Hall.

Następnie pałac zajmuje Oliver Cromwel. Wydaje tu swoją córkę Mary za lorda Falconbridge, jest świadkiem śmierci drugiej córki Elizabety Claypole i ostatecznie tu umiera. Po jego śmierci Parlament zamierza sprzedaż pałacu jako „rzeczy wywołującej



Ściany wielkiego salonu ozdobione pięknemi malowidłami.

pokusę u ambitnych ludzi o zaostrzonym apetycie na angielski tron". Zwolennikom Richarda Cromwella udaje się jednak temu przeszkodzić. Przeznacza się go na miejsce, gdzie „ludzie zaangażowani w sprawach publicznych mogliby spokojnie spędzić lato". Ostatecznie jednak przeważyła opinja „pokusy". Ofiarowuje się go generałowi Monck. General jednak uważał ten dar za bardzo niebezpieczny i przyjmuje jedynie jego zarząd, a po restauracji Stuartów wręcza go prawowitemu właścicielowi.

Za „przywróconych" Stuartów pałac raz jeszcze staje się ośrodkiem życia dworskiego. Tu Karol II spędza miodowe miesiące z Katarzyną Braganza, tu również przez przyjęcie lady Castlemaine w skład dam dworu, nastąpiła domniemana lecz niemniej oficjalna zgoda królowej na uznanie jej jako kochanki króla.

Z objęciem tronu przez Wilhelma III w historji pałacu następują poważne zmiany. Wilhelm restauruje i przebudowuje większą część pałacu Tudorów, wznosząc równocześnie potężne wschodnie i południowe skrzydła pałacu w stylu renesansowym.

Z nadejściem dynastji Hanowerskiej znaczenie pałacu w życiu dworu angielskiego zaczyna upadać.

Jerzy I i Jerzy II, wówczas jako książę Walji przebywają tu dorywczo, dając nieraz widowiska teatralne.

Natomiast Jerzy III nigdy tu nie rezydował, tak, że właściwie ze śmiercią Jerzego II (1760) Hampton Court Palace przestaje być rezydencją królewską. Wkrótce po wstąpieniu na tron Wiktorji (1837) apartamenty królewskie stały się dostępne dla publiczności.

Aleksander Sackiewicz.

Kącik dobrej gospodyni

WARTO WIEDZIEĆ, ŻE...

PRZYPALONEGO MIĘSA NIE TRZEBA WYRZUCAĆ, lecz zanurzyć całe naczynie w bardzo zimnej wodzie i to tak głęboko, jak tylko można, byle nie przelać jej do wnętrza. Po zupełnem ostudzeniu można odkroić część niespaloną, która tym sposobem nie przejdzie wcale odorem spalenizny.

MOŻNA OSZCZĘDNIE UŻYWAĆ WANILJI W LASKACH, umieszczając ją w miałkim cukrze, szczelnie zamkniętym w puszce czy słoju. Cukier tak przejdzie tym zapachem, że można go używać bez dodawania wanilji w kawałku.

KOLOROWE PŁÓTNA PIERZE SIĘ DOSKONALE w wodzie. pozostałej z gotowania suchej białej fasoli.

PRZYKRĄ CZKAWKĘ MOŻNA ZAHAMOWAŻ, biorąc do ust łyżeczkę cukru-pudru, nie popijając jej niczem.

CZYŚCIMY BRYLANTY dając je na dwie godziny do spirytusu. Potem dobrze wyszczotkować i wysuszyć.

NA BEZSENNOŚĆ MOŻNA RADZIĆ DOMOWEMI ŚRODKAMI. Trzeba spać z watą w uszach, ale troszkę zwilżoną wazeliną. Spać z głową dość wysoko ułożoną, wypiwszy szklankę odwaru z tarniny — łyżeczka od kawy suszonych kwiatów tarniny na szklankę wody.

KLAWISZE FORTEPIANU CZYŚCI SIĘ flanelką zwilżoną eterem.

WILGOTNOŚĆ DŁONI USUWA SIĘ zwilżając je często roztworem spirytusowym lawendy i pocierając je często pumeksem lub kawałeczkiem ałunu.

ZEGARKI RĘCZNE I KIESZONKOWE powinny być wieczorem układane na miejscach chronionych od szybkich zmian temperatury. Nie wolno ich pozostawiać na marmurowym stoliczku lub szklanej podstawce. Najlepiej mieć dla nich wyściełane pudełeczka. Inaczej, zmiana temperatury po wyjęciu zegarka z kieszeni czy odpięciu z ręki, powoduje pękanie sprężyny itp. uszkodzenia.

FLAKONY PO PERFUMACH MOŻNA ODWONIĆ przy pomocy trocin drzewnych, zwłaszcza dębowych. Nasypuje się ich trochę do flakonika i zalewa dobrze ciepłą wodą. Po kilkakrotnem mocnem wstrząsaniu flakonikiem wylewa się trociny i płócze go zimną wodą.

FLASZKI Z NAFTY CZY JAKICH OLEJKÓW dadzą się wymyć kwasem siarkowym, po zalaniu którym zatykamy flaszkę starym korkiem i wielokrotnie wstrząsamy, powtarzając to po pewnym wypoczynku parę razy. Potem kwas wylać i napełniać flaszkę wielokrotnie czysta wodą dla przepłókania.

WAPNISTY OSAD NA NACZYNIACH DO GOTOWANIA czyści się od wewnątrz mączystemi ziemniakami, potem płócze wrzącą wodą i naprzemian zimną.

SMAK CEBULI W NACZYNIACH usuwa się przy pomocy ziemniaków j. w.

ABY MASŁO NIE PIENIŁO SIĘ PRZY SMAŻENIU wlewa sie doń przed włożeniem mięsa łyżkę oliwy jadalnej.

PLAMY RDZAWE NA BIELIŹNIE usuwa się pocierając je sokiem cytrynowym zmieszanym ze solą. Na ilość soku z jednej cytryny daje się pół łyżeczki soli kuchennej.

Zet.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowsze znaczki, wydane przez Włochy dla nowej kolonji Abisynji, oraz przez Francję z okazji mistrzostw świata w narciarstwie.

Z ministerstwa poczt U. S. A. (Post Office Departament) otrzymaliśmy komunikaty o najnowszych wydaniach znaczków, poświęconych amerykańskiej armji i marynarce. Pozwalamy sobie zauważyć, że i nasze władze mogłyby pójść za tym przykładem, informując zgóry zbieraczy o swych planach.

Oto wyjątek z najnowszego komunikatu: „Znaczek za 3 centy, poświęcony flocie, przedstawia admirała Farraguta po lewej, a admirała Portera po prawej stronie. Wizerunki umieszczone są w owalach, a pomiędzy niemi widzimy reprodukcję typu okrętu wojennego z epoki owych wodzów. Pod ramką owalów znajdują się na białem tle nazwiska — Farragut i Porter, a obok nazwy historycznych okrętów, którymi oni dowodzili: „U. S. S. Hartford“ po lewej i „U. S. S. Powhatan“ po prawej i t. d.“.

Tak samo dokładnie opisany jest znaczek za 3 c., poświęcony armji. Komunikat, liczący około sto wierszy, podaje pierwszy dzień, kiedy się te dwa znaczki ukażą (18 lutego), w jaki sposób należy zamawiać listy z najwcześniejszym datownikiem itd, itd. Szkoda tylko, że nie zdradzono tajemnicy wysokości nakładu. Prawdopodobnie nie będzie on wielki, bo dla urzędów pocztowych zamieszczono uwagę, że mogą one zamawiać te serje jedynie w ograniczonych ilościach.

Ameryka umie więc lepiej od nas propagować swe wydawnictwa i zbieracze nie są narażeni na bardzo niemiłe niespodzianki. Ministerstwo Poczt sprzedaje tam tylko bieżące znaczki wraz z odmianami (60); u nas zaś likwiduje się w ten sposób również wycofane z obiegu zapasy. Niedawno zdarzył się wskutek pomyłki (?) taki wypadek, że tylko do Lwowa dostały się znaczki dopłaty za 25/1 zł. na prążkowanym pionowo papierze. Pozatem wszędzie spotyka się ten przedruk prążkowany poziomo, a nikt nie jest chwilowo wstanie ocenić, czy wartość tej odmiany wynosi 10 groszy, czy 10 złotych. **W. H.**

ODPOWIEDZI REDAKCJI. P. W. Góra — Mikołów. Artykuł „Fauna we filatelistyce“ nie był przeznaczony dla zbieraczy. Ma Pani rację, że nie Kanada, lecz Szwajcarja wydała pierwszy znaczek ze zwierzęciem. Znaczki Tuvy są bezwartościowe, to tylko nalepki propagandowe Z. S. S. R.

ADRESY ZBIERACZY: Radca O. Feistmantel, Lwów, ul. Na Bajki 24/15, poszukuje korespondenta w Ameryce.

Janina Jankowska, Borysław, skr. poczt. 197, pragnie wymieniać znaczki z krajami zamorskiemi (adresów szeregu zbieraczy pozaeuropejskich, ogłaszających się w specjalnych pismach, nie możemy tu podawać, znajdzie je Pani np. w „Echo de la Timbrologie“, wydawnictwie Yverta, Amiens, 37-Rue des Jacobins, Francja).

WALNE ZGROMADZENIE Krak. Zw. Filatelistów odbędzie się w czwartek, 18 bm. w Banku Hipotecznym o godz. 19-tej.

Terminy zebrań Klubu Filatelistów Polskiej Y. M. C. A. obecnie we środy, godz. 19.30, ul. Krowoderska L. 8.

OBECNY ADRES DOROTHEUM: Wien I, Dorotheergasse 11. — (Aukcje znaczków we wtorki i piątki).



PANIE, O KTÓRYCH MÓWI STOLICA

ANNA RYBAŁTOWSKA

Na wszystkich niemal reprezentacyjnych balach tegorocznego karnawału warszawskiego, skupiających najwytworniejsze sfery stolicy, królowała swą porywającą urodą i pierwszorzędnemi tualetami Anna Rybałtowska, małżonka dyrektora M. Sk. Stefana Rybałtowskiego. Na balu „Latarnia", stanowiącym clou karnawału, p. Anna w jasnobłękitnej sukni i okryciu z białych lisów wyglądała wprost „zjawiskowo". Jej piękne kasztanowe włosy o połysku roztopionej miedzi, spięte w luźny węzeł nisko na szyi, odbijały cudownie od tła sukni a oczy, nasycone błękitem, nabierały wprost morskiej toni.

Niemniej i poza salą balową — w życiu codziennem — cechuje panią Rybałtowską wytworna elegancja. Słusznie też zaliczana jest ona w poczet najpiękniejszych i najelegantszych Warszawianek.

Najważniejszą jednakże cechą urody pani Niusi — tak bowiem nazywana jest w kole swych przyjaciół — to promieniejąca z całej postaci wielka radość życia, udzielająca się całemu otoczeniu. Swoim jasnym uśmiechem, wesołem spojrzeniem, zawsze czynna i pełna inicjatywy, zdobywa serca wszystkich; toteż jest duszą towarzystwa, a przyjęcia w domu dyrektorstwa Rybałtowskich należą do najmilszych zebrań towarzyskich.

Dom, to drugie królestwo uroczej pani Niusi, w którem panuje jako przemiła pani domu oraz dobra, kochająca mamusia ślicznego synka. W całem urządzeniu wyczuwa się subtelną i bardzo kobiecą rączkę. Z smakiem porozmieszczane drobiazgi artystyczne, na ścianach dobre obrazy, a nadewszystko dużo, dużo kwiatów, stwarzają atmosferę piękna i przytulności.

Na biurku, pod pękiem szkarłatnych róż uśmiecha się z ram prześliczna twarzyczka pani Niusi. Proszę o to zdjęcie dla „Asa". Uprzejma rozmówczyni spełnia z miłą chęcią moją prośbę. Na innych zdjęciach podziwiam panią Niusię jako narciarkę, amazonkę na koniu, na basenie pływackim, na tenisie.

— Więc pani uprawia tyle sportów? — pytam.

— O tak — odpowiada pani Niusia. — Ale w okresie karnawałowym wszystkie schodzą na drugi plan. Poprostu brak mi na nie czasu, tyle mam pracy w najrozmaitszych komitetach balowych, do których jestem stale zapraszana. A pozatem przyznaję się zupełnie szczerze, że kocham taniec; daje mi on tyle radości i upojenia. Kocham również śnieg i słońce. Zatem korzystając z tego, że bale się już skończyły, wybieram się na narty do Zakopanego. — Należy mi się przecież ten zasłużony wypoczynek po „trudach" karnawału! — kończy pani Niusia z czarującym uśmiechem.

Z. Ordyńska.

HENRY DUVERNOIS

PERYPETJE BANKIERA

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD LUDWIKA ŚWIEŻAWSKIEGO

I.

Azatem jutro — będzie się czytać w dziennikach: „Dowiadujemy się o śmierci w 42-gim r. życia pana Bernarda Denoinville, bankiera. Przedwczesna śmierć wielkiego finansisty okrywa żałobą...".

Udana wesołość mego przyjaciela Founié, słynnego chirurga, nie może mnie uspokoić. Znam go od dziesięciu lat, był zawsze posępny. Chciał być jowialny, gdy mi oznajmił o konieczności wyjazdu do swego domu zdrowia:

— Słuchajno, mój stary. Lepiej będzie, jeśli cię wezmę do zakładu... Nie powiem, aby operacja była konieczna, ale chcę cię mieć pod ręką... Zresztą to byłaby bagatela, mały zabieg. U mnie będzie ci bardzo dobrze. Dam ci ładny pokoik z widoczkiem na drzewa, że potem przykro ci będzie wracać do siebie. Więc jutro o ósmej rano. Nie, nie twoim autem... Przyślę ci karetkę, żebyś mógł wygodnie leżeć... Nie róbże takiej miny, mój drogi. Przysięgam ci, że to będzie zabawka.. Nic innego... zabawka...

Ale wzrok jego trochę za bardzo przenikliwy, jakby przepojony litością... Zrozumiałem. Ciekawe: kolegowałem z nim przez całe studja. Gdy byliśmy młodymi studentami, umizgałem się z powodzeniem do jego kochanek. Potem straciłem go z oczu, poślubił zanadto brzydką kobietę. Odnalazłem go w dojrzałym wieku. Zawsze taki sam, wielki chudy, niezgrabny, jak w dorastających latach. Dziś zwróciłem uwagę na jego ręce, od nich mam oczekiwać uratowania lub śmierci. Są olbrzymie, żylaste, niezdarne. Ludzie chwalą jego niezrównaną zręczność. Czy możliwe, z takiemi rękami?

Zwykle wszystkie niemiłe sprawy zwalam na sekretarza, na mojego starego Heliarda. Jakieś nudziarstwo, sprawa trudna do rozwikłania... posyłam Heliarda. Gdybym go mógł posłać za siebie i tym razem! Onby się zgodził. Jest mi całkiem oddany. Tego niepozornego człowieczka, o wyglądzie zrównoważonego biurokraty, w cwikierze, w garniturze kupionym na składzie, o twarzy ogolonej przedwczoraj, trawią dwie namiętności: służenie mnie i alkoholowi. Co tydzień Heliard upija się. Gdy się zjawia i patrzy zamglonem spojrzeniem, uśmiechając się idjotycznie, mówię mu odrazu: Heliard, przyjdź dopiero jutro.

Wołam, aby przyszła żona. Gdybym nie zdawał sobie sprawy z mojego położenia, to brak różu na twarzy mojej żony powiedziałby mi wszystko. Jestem jeszcze tutaj, lecz ona, mimo że mnie kocha, przybiera postać wdowy, mającej za wiele kłopotów, aby się zajmować własnem zmartwieniem.

— Dzieńdobry wdowo Denoinville.

— Jesteś niemądry.

— A więc jutro zabierają pakunek.

— Tam będzie im lepiej zbadać cię. Jakże się czujesz?

— Marnie.

— Mój drogi!

Zdaje mi się, że jest teraz ładniejsza, niż gdy była moją narzeczoną. Dlaczego nigdy jej nie kochałem? Nie miałem czasu. Z podróży poślubnej zostaliśmy odwołani telegramem o nagłej śmierci mego teścia. Objęcie jego banku, kłopoty spadkowe, odrazu wszedłem w wir pracy. Dopiero teraz, gdy od miesiąca jestem przygwożdżony chorobą, doprawdy, jest to pierwszy odpoczynek. Poznałem, że moja żona jest niezwykle subtelną pielęgniarką. Alicja jest porządną, ma zimną krew. Nie dawała mi rozkoszy, ale przynosi ulgę w cierpieniach.

— Alicjo, chciałbym zobaczyć Heliarda.

— Zaraz ci go przyślę. Pisze listy na maszynie.

— Zaczekaj... Ależ tak... dziewięć dni abstynencji — musi być pijany!

— Nie. Dziś jest zupełnie trzeźwy.

Moja żona przestała się malować, Heliard wyrzekł się tygodniowej libacji — jestem skazany.

Oto mój totumfacki, trochę oszołomiony, jak nałogowy palacz opjum, gdy mu nie pozwolono palić.

Heliard... tam, na półce... ta flaszka... tak, tak, stary armaniak. Proszę, nalej sobie kieliszek.

— Nie, naprawdę... piję już tylko wodę.

— Nalej sobie. To ci dobrze zrobi. A teraz zatkaj flaszkę i słuchaj. Weź ten pakunek, jest zaadresowany. Zgłosisz się do panny Genowefy Happio. Czy trzeba cię wtajemniczać?

— Wiem, proszę pana.

— Oddasz jej tę paczkę. W tej starej gazecie jest 250.000 franków. Powiesz pan-

nie Hapio, że jutro mają mnie operować, niech się tem nie przejmuje, to zwykła operacja, niema niebezpieczeństwa. Jedynie przez przesadną ostrożność posyłam jej tę małą sumkę. Powiedz, że dobrze wyglądam, wreszcie uspokój ją, jak chcesz.

Oczy Heliarda zachodzą mgłą. Żegnam mojego sekretarza, zanim wybuchnie płaczem. Wszystko w porządku. Moja żona może wejść.

I właśnie wchodzi, nieco sztywna, jakby zgadywała.

Czem zapełnić czekanie? Gazety? Cóż mnie to obchodzi? Obchodzi mnie tylko moja własna osoba. Fakt, że pan Bernard Benoinville, bankier, podda się okropnej operacji, góruje w moich oczach nad wszelkiemi zdarzeniami krajów europejskich. Kurs giełdy? Prawie że pragnąłbym krachu, którego tak się bałem wczoraj. Biednemu musi być łatwiej umierać. Przychodzą mi na myśl słowa Mazarina w agonji, gdy przeglądał drogocenne zbiory. „Pomyśleć tylko, że mam opuścić to wszystko". Już nie chcę myśleć o Genowefie, o jej blond włosach wpadających w odcień liliowy... Nie chcę o tem myśleć. Umieram jak burżuj.

Mam jeszcze dość sił, aby się okazać tchórzem. Cały drżę. Język mam wyschnięty. Czuję ogromny przypływ czułości. Alicja będzie bardzo płakała. Przynajmniej tydzień.

— Alicjo...

— Mój drogi.

— Nie zawsze byłem dla ciebie...

— Błagam cię, nie zajmuj się mną.

— Proszę cię, przebacz mi.

— Przebaczam. Nie chcesz spać?

— Nie. Te godziny są straszne... Ale mimo wszystko jeszcze są...

Alicja próbuje się uśmiechnąć.

Jutro, gdy karetka zajedzie po mnie, Genowefa będzie pewnie na ulicy... Nie będę patrzał na nią.

II.

Nie było Genowefy. Alicja siedzi obok mnie w karetce szpitalnej. Dzięki wczesnej godzinie nie było gapiów. Tylko jakiś włóczęga, w brudno-żółtym kapeluszu, patrzył na mnie ze współczuciem. Moja żona rzuciła mu 50 franków. On zaś kiwnął głową, co miało znaczyć:

— To nie przeszkodzi panu zdechnąć.

Szofer jedzie powoli. Koło niego umieścił się mój szofer. To przypomina mi nasze podróże. Nocny powrót z Biarritz, zapach sosnowy i milczącą jazdę w noc zalaną księżycem...

Posiadać trzy wspaniałe auta i jechać karetką szpitalną!

W tym domu, obok którego przejeżdżam, miałem ukryte na poddaszu mieszkanko, jeszcze w dwudziestym roku życia. Bawiłem się w nędzarza: bardzo było przyjemnie. Tam paszteciarnia, gdzie kupowałem gotowe potrawy, przypominająca moim wesołym towarzyszkom niedzielne uczty, jakie miewały w czasach cnotliwego życia. Tu matka moja kupowała kwiaty. Miałem zawsze bukiecik u siebie. Zamało je lubiłem. Nie napatrzyłem im się dosyć. Niedługo zniosą mi dużo kwiatów.

Urzędnicy, idący do biur, mają nieszczęśliwe miny. Chciałbym zawołać do nich:

— Patrzcie na mnie, a będziecie zadowoleni.

Przejeżdżamy koło mojego banku. U wejścia dwaj urzędnicy. Ujrzeli mnie i stanęli zdumieni, odrzucili papierosy. Mogą próżnować, ile im się podoba. Nic mi to nie zaszkodzi. Trzy okna mojej kancelarji... Ruch na ulicy, ruch w biurze i równocześnie spokój w tem uprzywilejowanem miejscu o perłowych ścianach. Raczej pracownia modnego powieściopisarza, niż oficyna kramarza pieniędzy.

A jednakże ze zrujnowanych wujów Alicji przydzieliłem śmiesznie małą jałmużnę.

— Alicjo, dasz tysiąc franków twemu wujowi.

— Czemu o nim myślisz? Dostaje trzysta franków miesięcznie, jest zadowolony.

Zdążamy do Łuku Triumfalnego w wspaniałym świetle. Taki byłem szczęśliwy, że nie zginąłem na wojnie. Zdawało mi się, gdy wyszedłem z wojny cało, że już niema obawy śmierci. To było tylko moje zawieszenie broni.

Starszy pan, jeden z moich znajomych, powozi niemodnym faetonem, zaprzężonym w dwa konie, idące miarowo, z fantazją pełną powagi. Wygląda jakby powoził własnym karawanem...

Młoda kobieta prowadzi auto, wyprzedza go. Słyszę czułe słowa „Za chwilę".

Ten antenat ma schadzkę i to nie ze śmiercią!

Już Lasek. To tutaj pewnej niedzieli przedstawiono mnie tej, która miała zostać moją żoną.

— Pamiętasz, Alicjo?

— Tak.

Zapytałem się potem przyjaciela, który był wtedy ze mną, czy ona jest ładna. Odpowiedział: „Urocza. Chyba jesteś ślepy". Tak, dla męża istnieją dwa rodzaje ślepoty: ze zbytku miłości lub z obojętności. Alicja myślała, że będzie żyć jak w powieści. Każde jej wspomnienie musi być rozczarowaniem. A jednak jest przy mnie.

Szlachetnie skłamałem:

— Kochałem cię bardzo, Alicjo. Kocham cię zawsze.

Jest mi wdzięczna. Tym razem spłynęły jej łzy z oczu.

Przyjechaliśmy już. Founie dyryguje przy przenoszeniu mnie z fałszywą wesołością, gorszą niż kiedykolwiek. „I cóż wcale nieźle wygląda... Będziemy mu tutaj dogadzali.

Nazajutrz o 10-tej pielęgniarka — anioł dobroci — mówi mi:

— Przejdziemy tam, wgórę.

Wgórę, jakby mówiła o niebie.

Moja żona, zbierając ostatki sił, aby się nie zdradzić, całuje mnie, potem prędko odchodzi.

Uczuwam strach.

— Jeśli mnie wyciągniesz z tego, Founi'e, dam ci cały mój majątek, słyszysz?

— Dość już mój stary — odparł chirurg — nie płeć głupstw...

Użył dosadniejszego wyrażenia. To było mniej więcej ostatnie słowo, które usłyszałem od niego.

III.

Uratowany!

Miesiąc upłynął od tej przeklętej operacji. Dość już mam tego leżenia i tej willi. Jedzenie szkaradne, wszystko, wszystko czuć karbolem. Pielęgniarka — ten anioł dobroci — podała mi dziś śniadanie z półgodzinnem opóźnieniem pod pozorem, że dogląda bardziej chorych pacjentów. Zanadto pośpieszyłem się z królewskim napiwkiem. Founi'e'go zapytałem, ile mu jestem winien. Przyznam się, że aż mi dech zaparło po jego odpowiedzi. 50.000 franków!

— Proponowałeś mi cały twój majątek. Przypuszczam, że daleko jestem od tej liczby. Zresztą trzeba, aby bogaci płacili za biednych, których operuję za darmo. Founi'e nie widzi we mnie przyjaciela tylko bogacza. Asystent oświadczył mi, że operacja była wprawdzie niebezpieczna, ale prosta. Z pewnością przesadziłem trochę w obawach.

Heliard przywozi mi listy od Genowefy. Nie chciała być przy tem, jak mnie wywozili, bojąc się, że zemdleje na ulicy. Telefonowała trzy razy daremnie do kliniki niby z ambasady angielskiej, aż moja żona powiedziała:

— Ci Anglicy są twoimi najlepszymi przyjaciółmi.

Alicja sypiała tutaj, w pokoju sąsiednim przez trzy tygodnie. Nigdyśmy się tyle nie nagadali. Była uosobieniem dobroci, lecz rozmowa z nią jest ograniczona. Ma tę dziwną właściwość, że nie zajmują ją sprawy materjalne, ani również duchowe. Ziewa nad każdą książką, a gospodarstwo także ją nudzi.

Naturalnie maluje się znowu. W ten sposób traci niedawną osobliwość.

Wracam nareszcie.

— Bernardzie, widzisz, karetka szpitalna...

Jadąc własnym autem, spojrzałem na przejeżdżającą budę.

— Tak. Na każdego przyjdzie kolej.

— Deszcz pada...

Odburknąłem:

— Cóż z tego? Wolę deszcz w drodze powrotnej, niż słońce, gdy tam jechałem.

Ucichła, jakby wolała wspomnienie tamtej ponurej jazdy.

Mój bank. Znowu te dwie figury palące papierosy. Zdawałoby się, że niema dla nich zajęcia. Muszę już raz z tem zrobić porządek.

Przejeżdżamy koło giełdy.

— Muszę cię zostawić — mówię do żony. — Idę z Heliardem podpisać pewien papier.

— Już...

— Rzecz pilna.

— Myślałam, że będziesz bardziej zadowolony... Nie jesteś tak wesoły, jak przypuszczałam.

— Moja droga, nie można przecież ciągle powracać do tego przykrego wspomnienia.

Kiedy wyjeżdżałem, Founi'e rozczulił się poniewczasie i uścisnął mnie. Uścisnął mnie za 50.000 franków, a Genowefa zaproponowała mi przez Heliarda, że mi odda sumę, którą jej ofiarowałem. Odmówiłem... Alicji kupiłem sobole, których pragnęła. Szaleństwo: 180.000 franków. Wyrachowałem, że operacja, wziąwszy wszystko razem, kosztowała mnie pięćset dwadzieścia trzy tysiące i kilkanaście santimów.

Za taką sumę możnaby się lepiej zabawić.

———o———

To „dać więcej" jest ambicją każdego reżysera, oraz inscenizatora spektaklu.

Stworzono najróżnorodniejsze systemy i metody pracy scenicznej. Zawsze jednak samo dzieło dyktuje, jaki kierunek jest najodpowiedniejszy i jaki system prowadzi najlogiczniej do celu.

Każde dzieło sceniczne posiada swe



Na lewo: Tadeusz Orłowicz: Szkic dekoracji do »Opowieści wigilijnej« Dickensa. Mieszkanie buchaltera.

Poniżej: Tadeusz Orłowicz, artysta-dekorator teatru im. J. Słowackiego w Krakowie.



TADEUSZ ORŁOWICZ- nowy plastyk teatru

Na prawo: Tadeusz Orłowicz: Szkic dekoracji do »Opowieści wigilijnej« Dickensa. Scena rozstania.



Scena polska oczekuje na swój własny kształt i barwę. Dotychczas nie posiada ona swego odrębnego plastycznego wyrazu i uformowania.

Pierwszy pracę tę w tym kierunku rozpoczął Stanisław Wyspiański, tworząc wizję swego patetycznego teatru, posiadającego swoją własną konstrukcję, charakter, wyraz, a więc styl.

Dalszą pracę uformowania plastycznego naszej sceny prowadzą w różnorodnych kierunkach współcześni nam inscenizatorzy i malarze.

Stan jednak dotychczasowy nie wykazuje kośćca własnej koncepcji, lecz jest to tylko eksperymentowanie będące niestety odbiciem świateł teatralnej sowieckiej gwiazdy.

Teatr współczesny rozporządza bogatą symfonją różnorodnych elementów widowiska, które użyte odpowiednio bądź podnoszą, bądź degenerują wystawiony utwór.

Najważniejszym elementem każdego spektaklu od wieków pozostał sam żywy aktor. Bez niego niema działania, a bez działania niema teatru. On nawiązuje bezpośredni kontakt pomiędzy treścią widowiska a widzem.

Dramaturg daje tekst, zaś teatr wypracowuje na swoim warsztacie widowisko teatralne. Rezultat końcowy pracy, zespalającej poszczególne elementy widowiska, powinien być zawsze większy, niżli dał dramaturg.

wewnętrzne prawa, w których tajemną magję odcyfrować może jedynie człowiek teatru.

On właśnie powinien prześwietlić swoim mózgiem oraz inwencją sceniczną konstrukcję, wyłaniającą się z akcji treści i środowiska każdego utworu dramatycznego.

Teatr współczesny zajmuje się bardziej wszechstronnie szukaniem różnorodnych teatralnych form, niż to miało miejsce w innych epokach.

Wyśmiewane w naturalistycznym teatrze określenie: „to jest teatralne", stało się dewizą obecnie panujących kierunków.

Uteatralnić teatr! Przypominać wi-



Scena z poematu M. Niżyńskiego »Trzy mgły«. Budowa sceny, dekoracja i kostjumy T. Orłowicza.

dzowi każdej chwili, iż jest w teatrze, podczas gdy dawniej naturalistyczny reżyser kazał mu o tem zapominać!

Prawdzie uczuciowej przeciwstawić prawdę teatralną!

Nowoczesny reżyser, inscenizator i malarz wyławia z tekstu poszczególne elementy widowiska, aby zespolić je w jedną logiczną całość.

* * *

Młody krakowski artysta-malarz, Tadeusz Orłowicz, jak wykazał z krótkiej swej, lecz bogatej scenicznej działalności, obdarzony jest wnikliwością malarską i umie przetłumaczyć koncepcję literacką utworu na plastyczną konstrukcję teatralnej formy widowiska.

Urodzony w Krakowie w 1907 r. ukończył Orłowicz Akademję Sztuk Pięknych w Krakowie jako uczeń prof. Mehoffera, Weissa i Kowarskiego. Po odbyciu studjów dostał się na praktykę teatralną do malarni znakomitego artysty - malarza i dyrektora Teatru Miejskiego prof. Karola Frycza.

Pracował przedewszystkiem przy inscenizacji „Trzech mgieł" Niżyńskiego, „Opowieści wigilijnej" Dickensa, i komedji muzycznej „Krawiec w zamku" francuskiej spółki Armont'a i L. Marchand'a.

W utworze Niżyńskiego, o zawikłanej literackiej konstrukcji, wykazał Orłowicz subtelną wnikliwość, szkicując uproszczonemi elementami konstrukcyjnemi oś myślową widowiska.

Stożek, drabina, zegar i zodjak — to symboliczne elementy, jakich użył Orłowicz dla określenia scenicznej atmosfery utworu. Widowisko składało się z czterech obrazów-epizodów. Malarz światłem podkreślał logicznie symbolikę dialogu. Już w tem dziele okazał Orłowicz dojrzałość artystyczną i wyzwolił się jako plastyk teatralny.

Następny utwór, reżyserowany i inscenizowany przez Radulskiego, pozwolił artyście na szersze malarskie wypowiedzenie się. I w tym wypadku koncepcja plastyczna widowiska harmonizowała z charakterem literackim utworu. Orłowicz oparł swe dzieło na angielskich sztychach z epoki Dickensa i stworzył obrazy sceniczne stylizowane w dwóch kolorach. Scenę podzielił na dwa światy, materjalizmu Scrooge'a i wizji, projektowanej na jednoplanowych płaszczyznach jako lakoniczne tło malarskie i architektoniczne poszczególnych epizodów akcji. Bieg przedstawienia psuły nieco zbyt jaskrawe reflektory teatralne, niweczące nastrój wizyjności, lecz odsłaniające mimikę aktorów, którzy jakoś dotąd nie mogą znieść na scenie żadnych półtonów, lecz chcą być koniecznie oświetlani jupiterami, jakby w studjach kinematograficznych. Orłowicz swą malarską interpretacją umiał utrzymać anglosaski charakter utworu, nie przeinaczając jego elementów w wschodnim duchu, jak to się stało z „Klubem Pickwicka" w Warszawie.

Ostatni utwór, któremu Orłowicz nadał szatę sceniczną, należy do błahostek sezonowych, które utrzymać się mogą na scenie jedynie dzięki doskonałej działalności warsztatu teatralnego.

I w tym wypadku Orłowicz trafił w sedno rzeczy, projektując dekoracje w stylu groteskowym, nadającym ton charakterowi gry aktorskiej i całości widowiska.

W pierwszym akcie podkreślił Orłowicz satyrycznie groteskową widmowość zamku feudalnego, budując scenę pełną zakamarków, portretów skarykaturowanych oraz zbroi. Warunki techniczne sceny nie pozwalały na rozbudowę w odpowiednich proporcjach zamkowego hallu. Trzeci akt dał doskonałą sposobność Orłowiczowi do wykazania wykwintnego smaku w ujęciu groteskowo stylizowanej ramy scenicznej nowoczesnego lokalu sklepowego krawca. Żałować należy, iż Orłowicz poprzestał tylko na dekoracjach i że nie stworzył odpowiednio groteskowych figurynek, występujących postaci. Współczesne stroje i wykwintne tualety pań i panów nie harmonizowały z scenicznemi ramami Orłowicza. Wymagały one stylizacji zarówno kostjumowej, jak i groteskowej maski aktorów.

Sukcesy dotychczasowe Orłowicza upoważniają do twierdzenia, iż znalazł się nowy człowiek teatru, nowy artysta szukający własnych dróg w świątyni Melpomeny.

M. Dienstl-Dąbrowa.

Poniżej: Dekoracja T. Orłowicza do aktu III komedji muzycznej »Krawiec w zamku«.



Poniżej: Dekoracja T. Orłowicza do aktu I i II komedji muzycznej »Krawiec w zamku«.





Na prawo: Tadeusz Orłowicz: Szkic dekoracji do »Opowieści wigilijnej« Dickensa. Sielanka rodzinna.



VSCHÓD SŁOŃCA W STAREM MIEŚCIE...
LICA JEZUICKA W LUBLINIE. FOT. ST. RUTKOWSKI

Lodowym szlakiem...



Powyżej: Wędrówka poprzez bezbrzeżne, lodowe pustkowia.

Na prawo: Na najbardziej na północ położonym skrawku ziemi, do którego dotarli Polacy. Od lewej: inż. S. Bernadzikiewicz, autor artykułu niniejszego Stanisław Siedlecki i dr. K. Narkiewicz-Jodko.



Na palcach możnaby zliczyć te tysiące lat, które upłynęły od czasu, kiedy potężny pancerz lodowy, mroźnym swym cielskiem skuwający olbrzymie obszary naszego globu, zaczął ostatecznie tajać i wycofywać się z terenów dzisiejszej Europy środkowej i północnej. Patrząc na sędziwą Ziemię ze stanowiska geologów, zgodzimy się, że bardzo krótki moment życia naszej planety upłynął od chwili, w których w Europie czy w Azji w świecie natury nieożywionej królował lodowiec, a wśród istot żywych rej wodził włochaty mamut.

Lód był życiu wrogi i stanowił białą pustynię; przed czołem zaś lodowisk ciągnęły się sfrefy ziem nagich, ubogich, o klimacie surowym, a chmurnym, zmuszającym do nieustannej walki o byt.

I kto wie czy pierwotny człowiek, dziwna dwunoga istota, bardzo niewielu cechami odróżniająca się od dzikiego zwierza, tu właśnie w sąsiedztwie lodów, w ciągłem zmaganiu się z nieznającą litości przyrodą, nie nabrał hartu, sprytu i zdolności do boju o panowanie nad światem.

* * *

Epoka lodowa minęła. Dziś na ugorach Polski w skwarne dni lata złocą się łany zbóż i zielenią lasy, tam gdzie dawniej panował niemijający chłód, a gleba nie odmarzała nigdy głębiej niż na kilkadziesiąt centymetrów pod błotnistą powierzchnią.

Nie wszystkie jednak kraje, które w pradawnych okresach geologicznych miały klimat zupełnie ciepły, a potem podlegały ogólnemu zlodowaceniu, dziś pozbyły się już skorupy lodowców. Są na Ziemi takie okolice, gdzie epoka lodowa trwa po dziś dzień, gdzie w chwili obecnej zachodzą takie same zjawiska, jakie zachodziły w Polsce przed tysiącami lat. Tam rządzi lód i jego prawa, a stworzeniem najmocniejszem jest biały niedźwiedź. Są to kraje polarne.

Po dziś dzień jeszcze, człowiek, wkraczający w te krainy lodów, czuje się słabym i małym wobec olbrzymiej, wspaniałej przyrody. Po dziś dzień u stóp lodowców, lub na ich srebrzystych grzbietach uczy się hartu ducha i sposobów walki o życie. Przybysz ze świata cywilizowanego widzi tam wokół siebie jakby dawne, minione dzieje Ziemi, a równocześnie w sobie samym dostrzega wprost zadziwiająco wiele instynktów człowieka pierwotnego.

Spitsbergen, archipelag polarnych wysp, co stromymi ścianami gór wyrastają z Oceanu Lodowatego w odległości siedmiuset kilometrów wprost na północ od północnego przylądka Europy, jest najłatwiej od strony morza dostępnym krajem podbiegunowym. O nim sławny badacz szwedzki Nordenskiöld wyrażał się, mówiąc, że „Spitsbergen, to klasyczny teren polarny".

Po polskiej wyprawie na Wyspę Niedźwiedzią (1932—33 r.), przy ówczesnym stanie naszych doświadczeń polarystycznych, Spitsbergen stał się następnym etapem naszych działań podbiegunowych. Polska wyprawa na Spitsbergen, która w 1934-ym roku pracowała w niezbadanej dotychczas Ziemi Torella, przyniosła pokaźny dorobek naukowy. Na wykonanej przez nas mapie dziewiczej i stopą ludzką nietkniętej dotychczas krainy, pojawiły się nazwy polskie: Góry Piłsudskiego, Lodowiec Polaków, Góra Kopernika, Góra Curie-Skłodowskiej, Staszica, Stanisławskiego i inne. Nazwy te nadane zostały przez nas, pierwszych badaczy, a jako zatwierdzone przez rząd Norwegji, przyjęte są oficjalnie na terenie międzynarodowym.

Doświadczenia i wiadomości, zebrane na Spitsbergen w 1934-ym roku, pozwoliły nam marzyć o dokonaniu pierwszego, całkowitego przejścia przez największą lodowo-skalną wyspę archipelagu spitsbergeńskiego. — Już w 1928-ym roku trzech Norwegów, chcąc się przygotować do planowej ekspedycji na Grenlandję, postanowiło sobie przejść przez zachodnią, czyli główną wyspę Spitsbergen. Przedsięwzięcie nie udało się jednak doprowadzić do końca. Po przebyciu dwóch trzecich wielkiego szlaku, zawrócili nawpół ociemniali, porażeni blaskami słońca, które w okresie t. zw. lata świeci w krajach polarnych przez 24 godziny na dobę, wcale w nocy nie zachodząc za horyzontem.

Byliśmy od nich szczęśliwsi. Udało się nam w dwóch olbrzymich etapach przejść szlak, długości 850 kilometrów. Przemierzyliśmy rozległą polarną wyspę od jej przylądka południowego do północnego. W ciągu wielu godzin dziennie szliśmy krok za krokiem, na nartach lub w butach dobrze okutych. Cały nasz sprzęt i żywność transportowaliśmy na wielkich polarnych saniach, które poprzez dziwny, pełen tajemnic kraj ciągnęliśmy z mozołem siłą własnych ramion.

Szlak nasz wiódł nas setki kilometrów poprzez lodowce wszelkich typów i rozmiarów, poprzez łańcuchy wyniosłych gór i przez olbrzymie płaskowyże lodowe. Przecinał niekiedy doliny pozbawione lodu, a porośnięte nikłą roślinnością, tworzącą t. zw.



Rzeki mknące bystro w lodowych korytach są poważną przeszkodą na drodze wędrowca.

tundrę. Na tundrach spotykaliśmy dzikie renifery, tak jak na wybrzeżach foki. Szlak biegł wzdłuż monotonnych, pustych nadbrzeży morskich, wśród sieci i labiryntów potoków, rzek i błot. Widzieliśmy krainy przez nikogo jeszcze nie oglądane, poznaliśmy całą skalę możliwości klimatycznych spitsbergeńskiego lata. Zebraliśmy bogaty materjał obserwacyj i doświadczeń, potrzebnych przyszłym wyprawom polskim czy obcym. — Zakosztowaliśmy pełnej rozkoszy, jaką daje samotność i głębokiej satysfakcji spotkania się z człowiekiem, po długich tygodniach wędrówki — wśród białych pustkowi.

Dnia 24-go sierpnia 1936-go roku stanęliśmy na północnym przylądku zachodniego Spitsbergen. Pod szerokością geograficzną półn. 80° 4' danem nam było podnieść biało-czerwoną flagę narodową, na najdalej na północ wysuniętym skrawku lądu, na jakim stanęła noga Polaka.

Lodowce Spitsbergen były dla nas naturalnemi drogami komunikacyjnemi. Na tych olbrzymich, zamarzniętych szlakach transport naszych rzeczy mógł się odbywać na saniach, a więc mogliśmy cały niezbędny nam ciężar posuwać równocześnie z sobą ku celowi. Tam, gdzie lodowce kończyły się, kwestja transportu bywała znacznie bardziej skomplikowana. Np. w dolinie Kjölstrom musieliśmy pięciokrotnie przechodzić wbród i z obciążeniem szeroką, rwącą rzekę, której wody zalewały nas do pasa. W dolinie Sassen przez półtorej godziny przeprawialiśmy się na pół rozebrani przez mroźne nurty sieci rzek i potoków, wijących się wśród tundry.

Na lodowcach Spitsbergen naogół nie trudno wyróżnić trzy strefy, trzy jakgdyby piętra. W górnych partjach lodowiec pokryty jest zwykle śniegami, po których sanie ślizgają się dobrze, zwłaszcza, jeśli płozy są należycie posmarowane smarami narciarskiemi. Dobre śniegi jednak, w ciągu lata, nie sięgają zwykle niżej, niż do 400 m nad poziom morza. Tu zaczyna się druga strefa, drugi rodzaj nawierzchni lodowca: mokre firny, rozlewiska, papki rozmoczonego śniegu, potoki i prawdziwe rzeki, płynące bystro w lodowych korytach, głębokich niekiedy na kilka metrów. Tu poruszanie się z saniami jest już znacznie kłopotliwsze i wymaga uważnego wybierania drogi wśród labiryntu wód lodowcowych. — Najniższe partje lodowców, czasem do wysokości około 200—300 metrów nad poziomem morza, to lodowiec nagi, śniegu pozbawiony, twardy i szorstki. Lód taje tu nierównomiernie, tworzą się na nim wyboje i wzniesienia, małe lecz złośliwe pagórki, poprzedzielane rynnami bieżącej wody. Tu dopiero poznać mogliśmy zalety naszych długich, nansenowskich sań. Skakały one po lodowych blokach, prześlizgiwały się przez lśniące koryta, pełzały wprost gnąc się i przystosowując do warunków terenowych. Niszczyły się przy tem jednak szybko, zdzierając szerokie płozy i nierzadko przewracając się wraz z całym ciężarem.



Czoło lodowca nazwanego imieniem Nordenskjölda, który był ostatnim na trasie wyprawy



Na lodowcu Horn'a weszliśmy w labirynt przepastnych szczelin.

W czasie wyprawy przewędrowaliśmy 30 wielkich lodowców, których długość wahała się od kilku do 80-ciu kilometrów. Mieliśmy więc możność zapoznania się z wszelkiemi wspomnianemi formami lodowego terenu. — Niejednokrotnie zdarzało się nam całemi dniami tonąć po kostki i do pół łydek w lodowatej wodzie; przeciągaliśmy sanie przez wiele rzek, które zagradzały nam drogę. W czasie przeprawy przez jedną z większych rzek lodowcowych, na lodowcu Nathorsta, sanie raptem przewróciły się nam tak nieszczęśliwie, że woda zerwała i uniosła moją wiatrówkę, przywiązaną na wierzchu ładunku. Najbardziej dokuczały nam jednak nagie, beześnieżne części lodowców, na których zastraszająco szybko rozbijały się nasze sanie.

W pierwszej części marszu pogoda dopisywała nam dość dobrze. W drugiej nierzadko dawały się nam we znaki zamiecie śnieżne, wichury, mgły a nawet deszcze. Te ostatnie były chyba bardziej przykre od śnieżyc, gdyż namiot nasz nie był na nie odporny. Mokły nam więc wory do spania, ubrania, żywność, wszystko potem marzło, pokrywając się skorupą lodu. Temperatura powietrza wahała się zwykle ok. 0°. Raz tylko na lodowcach zmierzyliśmy temperaturę 7 i pół stopnia mrozu, i raz tylko na wybrzeżu mieliśmy ciepło ponad 5 stopni. Było to polarne lato.

* * *

Wielkie, zdawałoby się niezmierzone pancerze lodowisk, wywierają swoiste piętno na krajobraz wnętrza Spitsbergen. Przy pięknej pogodzie lśnią nieskazitelną bielą, zdają się być zastygłemi falami jakiegoś potopu, co zalał aż po wierzchołki, wynurzające się niemal zewsząd łańcuchy gór. W ciszy i słońcu drży mroźne powietrze, utrzymujące się zawsze, grubszą lub cieńszą warstwą, nad powierzchnią lodowisk. Wtedy Spitsbergen jest prawdziwie piękny, a rozedrgana dal martwych rozłogów kusi wędrowca ku owym górom, często nieznanym, ku coraz dalszym zakątkom pełnego tajemnic, lodowego świata. — Gdy wieje wicher, gdy szalone wiry rozpędzonego powietrza miotają wśród mgieł kryształami śniegu, natura Spitsbergen staje się groźna i nieprzystępna. Podróżnikowi, który ośmielił się wkroczyć w jej państwo, nie pozwala ani na dalsze kroki w głąb lądu, ani na powrót do bezpiecznych wybrzeży.

Toteż wyruszając ku wnętrzu Spitsbergen i wiedząc, że czeka nas olbrzymia droga, obliczaliśmy dokładnie nasze siły fizyczne i moralne, aby nie dać się zaskoczyć przez złe warunki, w sytuacji takiej, z której nie moglibyśmy wyrwać się na czas i powrócić do fiordu Klaas Billen, skąd zabrać nas miał we wrześniu zgóry zamówiony statek.

Stanisław Siedlecki.



W dolinie Kjölstrom trzeba było przekraczać rwące, mroźne potoki...



Czoło lodowca bywa strome, nieprzystępne i zabłocone.



2 x TO SAMO!



Powyżej i na prawo:
Rynek krakowski, widziany z samolotu — i z okien Krzysztoforów. (Nr. 1).



Powyżej i na prawo:
Ratusz w Los Angeles w Kalifornji. — Ten sam budynek widziany z lotu ptaka. (Nr. 2).





Na lewo i powyżej:
Katedra św. Pawła w Londynie, uchodząca za największy kościół świata. — Ta sama budowla widziana oczami lotnika. (Nr. 5).









Powyżej od lewej:
Waszyngtoński Kapitol, fotografowany z powietrza — i z poziomu ulicy. (Nr. 4).





Powyżej i na lewo:
Plac Zbawiciela w Warszawie z lotu ptaka — i widziany oczam
przechodnia. (Nr. 3).

Wrażeń, jakich doznajemy lecąc samolotem, nie można z niczem porównać
Hen — na wysokości setek, a nieraz i tysięcy metrów powstają uczucia
pozbawione ziemskich naleciałości, wolne od trosk o niepewne jutro
skąpane całe w radosnych promieniach słońca, które świeci tam, nigdy nie
przysłonięte chmurami, a do którego ciągnie nas tajemnicza, odwieczn
tęsknota Ikara. Kto raz znalazł się w samolocie i na jego srebrnych skrzydłach
uleciał w przestworza, odrywając się bodaj na chwilę od ziemskiej skorupy
ten wraca potem na nią innym człowiekiem. Nabiera dopiero wtedy przeko
nania, że jest naprawdę „królem stworzenia", że ujarzmił jeden z najważ
niejszych elementów — powietrze, które przez wieki opierało się jego wład
czym zakusom. Lecąc nad różnemi krajami i obserwując z powietrza nieznan
krajobrazy, natrafia lotnik na miasta, a w nich na monumentalne budowle
które kiedyś, gdzieś widział — może oczami przechodnia, a może tylko n
pocztówkach. I tym razem oko jego doznaje nowych, niespodziewanych wrażeń
przy oglądaniu tych samych form architektonicznych z wyżyn lotu orła, któ
remu odebrał on powietrzne władztwo nad światem. el.

Czy istnieje u zwierząt HIPNOZA?









Hipnoza, która polega na wprowadzeniu człowieka w stan uśpienia, do pewnego stopnia przypomina normalny sen, wywołany czynnikami fizjologicznemi. Podobnie jak do snu usposabia człowieka ciemność, cisza lub monotonne jakieś głosy czy szmery, w hipnotyźmie te same czynniki odgrywają dużą rolę.

Podobnie jak w śnie normalnym człowiek zatracając zdolność odróżniania wrażeń od wyobrażeń, ulega złudzeniom-halucynacjom, miewa często sny fantastyczne, gdyż myśl jego nie kojarzy się z uczuciem i po głębokim śnie zatraca pamięć o sennych widziadłach, tak też w hipnozie człowiek nie zdaje sobie sprawy z tego co się z nim dzieje, a jednak wykonuje posłusznie wszystkie rozkazy i zlecenia hipnotyzera, często nawet wbrew swej woli. Człowiek zahipnotyzowany wykazuje wielką wrażliwość i łatwo daje się zasugerować. Działanie sugestji w hipnozie może wpływać na rozmaite procesy duchowe, zmieniać je lub nawet wstrzymywać. Medjum zahipnotyzowane może kolejno płakać, śmiać się, kochać i nienawidzieć.

Wpływ hipnozy na pamięć i wolę oraz świadomość człowieka może być bardzo wielki, nic więc dziwnego, że jak z jednej strony można ten wpływ wykorzystać dla leczenia chorych, tak z drugiej znów strony odpowiednie inklinacje medjumiczne może wykorzystać nieuczciwy hipnotyzer do niewłaściwych celów.

Czy istnieje hipnoza u zwierząt? Oto pytanie, na które jeszcze nie znaleziono dostatecznej odpowiedzi.

Pod hipnozą zwierzęcą rozumie się pewne stany bezruchu, powstające pod działaniem jakiejś podniety zewnętrznej bądź też przyczyny wewnętrznej, przyczem w stanie takim wrażliwość danego zwierzęcia jest albo bardzo obniżona, albo nawet całkowicie zahamowana. Przykładem tego może być patyczak, jeden z owadów szarańczowych, którego nawet skaleczenie nie zdoła wyprowadzić ze stanu kataleptycznego.

Stany bezruchu podobne do snu spotykamy w świecie zwierzęcym zwłaszcza u tych jego przedstawicieli, którzy stoją na niższym stopniu rozwoju. Znane są gatunki chrząszczy, które za dotknięciem nieruchomieją, jak gdyby udając martwe. Często zaś spotykana u owadów tak zwana pozycja odstraszająca jest poprostu odruchem zwierzęcia, koniecznym dla ratowania życia w razie grożącego mu niebezpieczeństwa. Nie tylko jednak przerażenie może wywołać stan kataleptyczny, ale także rozmaite przyczyny natury mechanicznej. Sztucznie można wprowadzić w stan bezruchu np. raki przez szybkie położenie zwierzęcia na grzbiecie i przyciśnięcie ręką strony brzusznej. Rak nieruchomieje i można mu nadawać dowolne położenia, w których utrzymuje się przez jakiś czas. Wogóle nagłe uderzenie lub szybki i niespodziewany obrót mogą wprowadzić zwierzę w podobny stan znieruchomienia. U kręgowców żyjących na swobodzie podobnych zjawisk nie obserwowano, natomiast dały się one wywołać doświadczalnie, w pracowniach naukowych.



Znieruchomiały patyczak w kataleptycznem położeniu ochronnem.

U owadów a zwłaszcza tych, które kształtem swym naśladują otaczające je martwe przedmioty jak np. patyczki, gałązki lub liście — taka katalepsja jest nawet częstem zjawiskiem. Stanowi ona do pewnego stopnia i obronę przed niebezpieczeństwami. Owad bowiem nie poruszający się jest znacznie trudniej dostrzegalny aniżeli ten, który się porusza. W podobnym stanie kataleptycznym owad nie tylko że nie porusza się, nie tylko wrażliwość jego na różne podniety obniża się znacznie, ale równocześnie mięśnie jego ulegają naprężeniu i nabierają większej siły;

Dokończenie na str. 24-tej.

Na lewo od góry: Zdjęcia przedstawiające cztery po sobie następujące fazy hipnotyzowania szympansa. Jak widzimy, po pewnym czasie szympans leży bezwładnie, poddając się całkowicie woli hipnotyzera.



Pomnik wielkiego fizyka Andrzeja Marji Ampère'a w Paryżu.

ENERGJA XX. WIEKU ELEKTRYCZNOŚĆ!

Jakieś 30 lat temu, skazaniec zapytany o ostatnie życzenie, oświadczył, że chciałby „przejechać się tramwajem!". Rzecz się działa w Krakowie. Sędzia musiał mu wtedy odmówić.

Skazaniec ten przynajmniej odczuwał wielkość wynalazków, wiedział, że to jest jednak coś nadzwyczajnego, iż żelazna klatka na 4 kołach opierająca się drążkiem o drut na górze biegnie sobie bez widocznego powodu.

Czytałem w starej gazecie entuzjastyczny artykuł: uczony amerykański Edison skonstruował źródło światła, które nawet pod wodą świeci!

Dziś tak zrośliśmy się z elektrycznością, że nie zwracamy na nią uwagi, chyba, gdy... zawiedzie!

A jednak — nawet zblazowanego człowieka zafrapowała chyba wiadomość, że głuchy rozmawiał przez telefon. Jak? Siedział poprostu przy telefonie zaopatrzonym w szybę telewizyjną i widział swego interlokutora. Widział jego ruchy ust, — rozumiał co mówi. Działo się to między Berlinem a Lipskiem. Profesor Broid z uniwersytetu Kolumbja skonstruował „palec elektryczny". Zapomocą niego ślepy wyczuwa (dwudziestokrotnie powiększone) wszelkie nierówności i wypukłości, a więc może czytać i normalny druk. Albo ten aparat, o którym kilka lat temu czytaliśmy: przekształca on zgrubsza stopniowanie nasilenia światła prądu elektrycznego i pozwala ślepym orjentować się czy droga jest wolną, czy też znajduje się przed nimi jakaś przeszkoda.

Niedawno dowiedzieliśmy się, że słońce przestało już być niedościgle silnem źródłem światła. My je już robimy w laboratorjum: lampa ta — to kawałeczek kwarcu z cieniutką dziurką przewierconą wzdłuż, na końcach elektrody, w środku odrobina rtęci. Puszczamy prąd, temperatura rośnie do 8000 st. C. (temperatura powierzchni słońca wynosi „tylko" 6000 st.) rtęć paruje, powstaje ciśnienie równe 300 kg na 1 cm² powierzchni, dając światło o sile 160.000 świec! Średnica tej „lampy" wynosi tylko 1 cm, a waga zaledwie parę gramów. Bagatela! Słońce w naparstku!

Anglja postanowiła zbudować cały oddział floty powietrznej kierowanej zdaleka — bez pilotów. Leci sobie taki aeroplan bez pilota, na ziemi gdzieś daleko macierzysta stacja wysyła fale radjowe i zależnie od ich rodzaju uruchamia się w aeroplanie to motor kierujący sterami, to przyspieszając bieg motoru. Niesamowici posłańcy śmierci, ładowani bombami — nieczuli, nieomylni! Wieleż to nieszczęść zdarzało się podczas wjeżdżania we mgle do portu! Można już temu zapobiedz. Wzdłuż wolnej drogi, na dnie, leży kabel. Prąd nim płynący działa na busolę na statku i kapitan po ciemku jedzie tak pewnie, jak przy najcudniejszej pogodzie. Okręt stracił orjentację na morzu: nic strasznego! Port wysyła radjowe sygnały i ustalenie położenia to już kwestja minut.

Elektryczne oko „electric eye" już zbudowano. Wielkość: 30 cm, średnica i długość 0,5 metra. Stawia się taką kamerę na statywie, na przykład, na trybunie wyścigowej i transmituje przebieg wyścigów na cały świat.

Telewizyjny zaś aparat odbiorczy (zbudowano go już w Londynie i New Yorku) nie jest nawet tak bardzo drogi, zależnie od wielkości ekranu, kosztuje zł. 1.500 do 3.000.

A w domu wieleż zastosowań! Czy to lodownia, która tylko kontaktem połączona z siecią prądu, daje zimne napoje w największy upał, czy też odkurzacz, gwarantujący rzeczywistą czystość i nieprzenoszenie kurzu z jednego miejsca na drugie, czy wkońcu żyletka elektrycznie goląca, czy wentylator lub piecyk, lub wreszcie prasowaczka do krawatów... Wszędzie elektryczność! A telefon? Telefon to nie tylko międzymiastowa rozmowa, to rozmowa choćby z pasażerem transatlantyckiego statku w drodze do New Yorku lub gdzieindziej. Chirurg kraje nożem elektrycznym, dentysta... ale nie mówmy o rzeczach przykrych!

A kino, to też w dużej mierze dar elektryczności. Tylko patrzeć jak nas zaproszą na przedstawienie, gdzie zobaczymy film, nie, nie film, ale jakby żywe osoby ruszające się w przestrzeni, kolorowe i mówiące. Kwestja ta już jest rozwiązaną. A czy można sobie wyobrazić rzeczywiste bezpieczeństwo bez sygnalizacji elektrycznej? Elektryczność liczy pasażerów kolejek podziemnych, liczy w fabrykach sztuki towaru itd. itd. Przy tym wynalazku stosuje się selen. Metal ten ma właściwość zmieniania oporu stawianego elektryczności w miarę zmiany natężenia światła. Promień pada na celkę selenu i każdą przerwę aparat sygnalizuje.

Śmiejemy się nieraz z uczonych: pewnie, cóż mogło być śmieszniejszego, jak taki poważny pan, który wieszał żabie udka na balkonie i badał dlaczego za dotknięciem metalową sztabką kurczą się?! A jednak ten pan to Galvani, a jego „zabawka" — to początek elektryczności — rok 1800! Galvani przypuszczał, że odkrył elektryczność zwierzęcą. Volta, profesor w Paryżu, zbił je i dowiódł, że elektryczność powstaje tu z 2 metali zwilżonych kwaskowatym płynem uda żaby. Rozbudował on tę tezę i wynalazł ogniwo elek-



W kole: Wynalazca alfabetu telegraficznego, Samuel Morse, według fotografji swego przyjaciela Daguerre'a.

Poniżej: Aleksander Volta, genjalny fizyk włoski demonstruje przed Pierwszym Konsulem swe doświadczenia.





Sala maszyn w wielkiej elektrowni niemieckiej Kachlettstufe w okolicy Passawy, z szeregiem generatorów.



Markiz Marconi, należy obok Edisona do najwybitniejszych fizyków XX. wieku.



W kole: Aleksander Volta (1745 1827) najznakomitszy fizyk XVIII. wieku, według współczesnego sztychu.

tryczne. Co prawda negując istnienie elektryczności „zwierzęcej" nie całkowicie miał rację, gdyż znacznie później Du Bois-Reymond (autor sławnych „Ignorabimus" tj. zestawienia tych rzeczy, których nigdy nie będziemy wiedzieli), stwierdził, że każdy ruch muskułów powoduje powstawanie różnic napięcia elektrycznego i to jest nawet warunkiem pracy muskułów. Czułemi współczesnemi aparatami można mierzyć te prądy. Przekonano się, że mózg, serce i t. d. wszystko działa wytwarzając prądy i można je uchwycić jako linję na papierze. A poczciwa wątroba to cała wysokonapięciowa stacja elektryczna! Ba! Brak prądów w organizmie to nawet dowód śmierci!

Wróćmy do naszej historji: Elektryczność w swych najprostszych objawach znali już Egipcjanie i Grecy. Znali bursztyn i jego właściwości. Podobno odkrył je Tales z Miletu w VI w. przed Chrystusem. W starożytności też zauważono minerał, wydobywany obok miasta Magnesia, który bez potarcia przyciągał opiłki żelaza. Jakiś sprytny Chińczyk potarł podłużny kawałek żelaza o ten minerał i zawiesił go na nitce i — tak powstała pierwsza busola — drogowskaz żeglarzy. W 1650 r. burmistrz Magdeburga von Guericke wytoczył sobie kulę z siarki, założył na oś i kręcąc pocierał kawałkiem sukna. Tak wyglądała pierwsza maszyna do wytwarzania elektryczności. W tymże roku użyto po raz pierwszy słowa „elektryczność". Potem mamy Franklina wynalazcę piorunochronu, a potem Ampère'a. Stop! Jego to śmierci 100 rocznicę obchodziliśmy 10-go czerwca 1936 roku i uczcijmy ją krótką biografją.

Miły ten sądząc z portretu, pan, żył 1775 - 1836 r. w Francji, ojczyźnie tylu sław naukowych, a urodził się w Lyonie 20 czerwca. Dzieciństwo miał przyjemne, zimą mieszkał w Lyonie, a latem w Poleymieux pod Lyonem. Mieszkańcy tego miasteczka zamienili domek Ampère'a na muzeum elektryczności.

Młodego Andrzeja kształcił ojciec, wybitnie rozumny człowiek. Podczas rewolucji ojciec zostaje stracony. Ampère żeni się — miłość na pierwsze wejrzenie — w 1799 r. Z tą datą zaczyna się jego karjera naukowa. W Bourg (dep. Ain) w 1801 zostaje profesorem fizyki. Pisze pierwszą rozprawę z dziedziny matemayki. Potem wykłada matematykę w Lyonie. W 30-ym roku życia w 1805 r. Paryż wzywa go do Szkoły Politechnicznej i powierza mu katedrę matematyki i mechaniki. Podziwiać trzeba tego genjalnego samouka i — jego wszechstronność. Naucza i pisze na tematy tak różnorodne jak — prócz wymienionych — astronomja, filozofja, fizyka doświadczalna, ekonomja, chemja. M. in. on to podaje sposób wyznaczenia ciężaru atomowego. Dość powiedzieć, że sławny Arago powiedział o nim: „On zna Encyklopedję na pamięć". Pracuje on w imponującem towarzystwie, gdyż do Rady politechnicznej należą obok niego: Laplace, Gay-Lussac, Monge, Berthollet, de Prony itd.

W 1820 r. pisze rozprawę o elektromagnetyźmie, dającą mu nieśmiertelność. Pobudką do rozprawy było doświadczenie profesora fizyki w Kopenhadze Oersteda: drut, przez który płynie prąd elektryczny, powoduje odchylenie busoli. Ampère jest też twórcą galwanometru, elektromagnetu i solenoidu. Solenoid to spirala drutu, która, gdy przez nią płynie prąd, to wsunięty wewnątrz kawałek żelaza staje się magnesem. Ampère zostaje w uznaniu zasług, członkiem licznych Akademij i towarzystw naukowych całej Europy. Dnia 10 czerwca 1836 r. umiera w Marsylji w 61 roku życia.

W fizyce unieśmiertelniono jego imię przez nazwanie „amperem" jednostki natężenia prądu (pewna ilość elektryczności przepływającej w sekundzie przez przewodnik). Najważniejszy owoc jego prac, to sformułowanie prawa według którego prąd elektryczny działa na magnes, gdyż to dało podstawę do budowy dynam, wytwarzania prądu, względnie elektromotorów. Wynalazki Ampère'a umożliwiły Amerykaninowi Morse w 1848 r. budowę pierwszego telegrafu. Już w 1850 r. zakłada się pierwszy kabel transatlantycki, a od 1851 już można normalnie telegrafować do Ameryki. A jakież były pierwsze słowa telegrafowane przez Atlantyk? Dwóch braci, Włochów, zrobiło sobie kosztowną przyjemność — jeden wyjechał do Ameryki i stamtąd przesłał do brata w Europie bardzo energiczne przekleństwo włoskie!

W 1831 Anglik Faraday odkrywa indukcję, t. j. powstawanie prądu w przewodniku bez prądu, poruszanym obok przewodnika z prądem. Dynamo — maszyna do wytwarzania prądu — to wynalazek robotnika belgijskiego Gramme'a z 1869 r. Po raz pierwszy przesyłania energji elektrycznej na odległość próbuje inż. M. Deprez. Udaje mu się to w 1884 r. po zastosowaniu transformatora, wynalazku Goularda. Transformator pozwala przemienić prąd o niskiem napięciu na prąd wysokonapięciowy, a więc mogący pokonać opór stawiany przez długi drut.

I tak niepowstrzymanym pędem rozwija się elektrotechnika. Wynalazek za wynalazkiem wkrada się w nasze życie codzienne, zmieniając je i ułatwiając.

Genjusz Edisona daje nam w 1878 r. żarówkę. Można sobie wyobrazić co to była za radość w laboratorjum, gdy pierwszy raz rozżarzyła się żarówka jeszcze z zwęglonym włóknem bambusu! Asystenci i Edison ledwo na nogach się trzymali! Wszak szukanie odpowiedniego materjału na żarznik lampy zabrało szereg dni i nocy! Fizyk Hertz w laboratorjum Politechniki w Karlsruhe w 1890 r. odkrywa fale elektromagnetyczne. Pierwsze próby radjotelegrafji to znów owoc pracy Branly i Marconiego. Pierwsze udałe próby przeprowadził ten ostatni w Anglji w 1806 r. Pierwszej transmisji radjowej dokonał Lee de Forest z Opery w New Jorku w 1908 r. I znów Ameryka była tym krajem, który pierwszy rozbudował ten najuniwersalniejszy łącznik między ludźmi.

Elektryczność, wielka rzecz! No dobrze, ale co to jest? Odpowiem definicją B. Russela: „Elektryczność to nie jest „coś", to sposób w jaki się przedmioty zachowują", czyli to jest stan w jakim się znajdują.
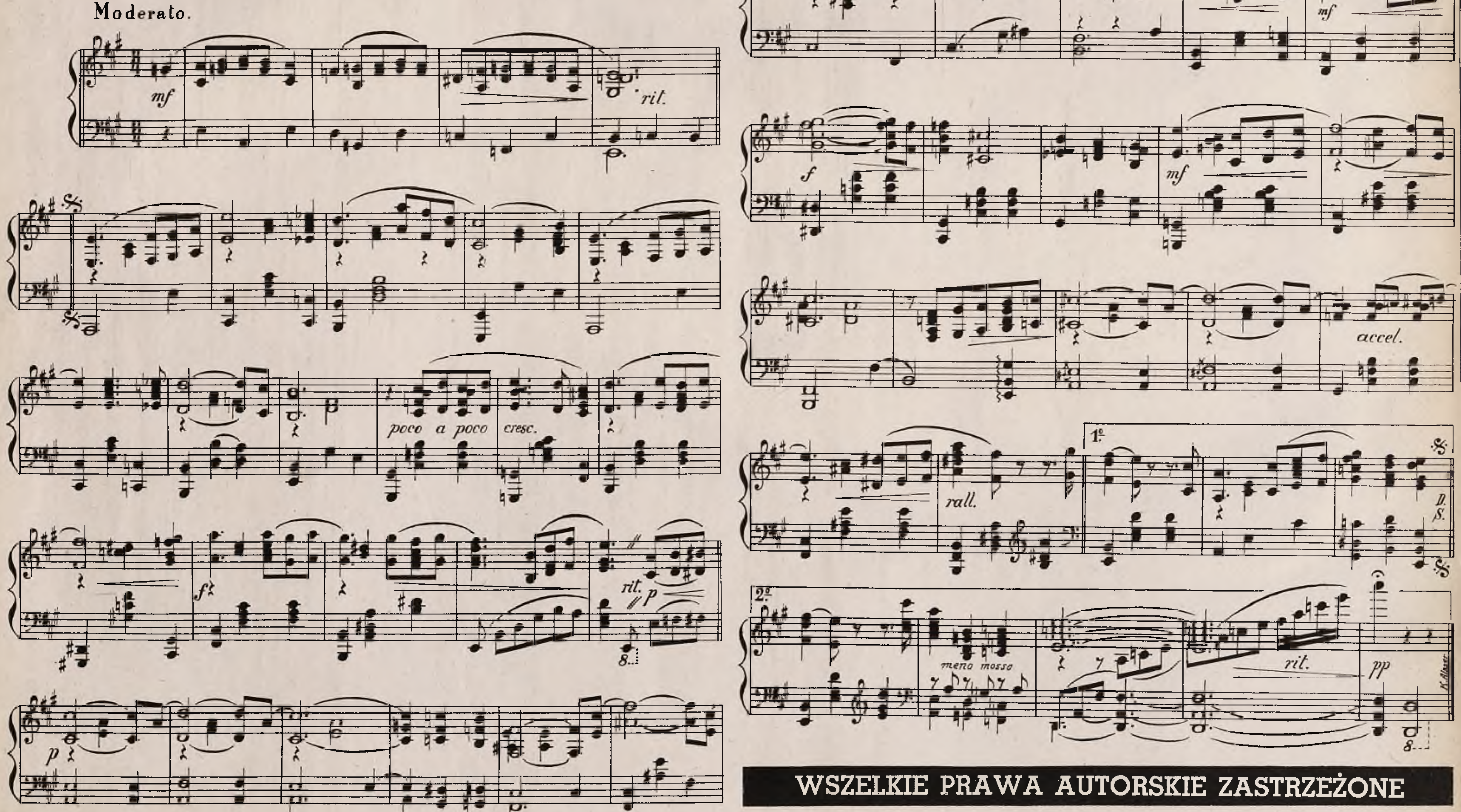
Jerzy Dołęga-Lewandowski.



MELODJA DNI MINIONYCH

BOSTON

JULJUSZ LEO (1926)



STRACONE SZANSE

MARJA KĘDZIORZYNA

SZKIC

Pani Klementyna nie mogła usnąć. Poprawiała się wciąż na łóżku i wciąż jej było niewygodnie. Łóżko szerokie, antyczne zwykle zapewniało jej miły spoczynek. Pani Klementyna doskonale się w niem czuła. Dzisiaj jednak sen nie nadchodził.

Pani Klementyna wzdychała ciężko raz po raz i ze zniecierpliwieniem słuchała głębokiego sapania, które dochodziło z drugiego takiego samego łoża.

Nareszcie nie wytrzymała. Uniosła się lekko na łokciu i zawołała półgłosem:

— Adolfie, czy śpisz?

Obojętne sapanie nie wystarczyło jej za odpowiedź. Powtórzyła więc:

— Dolu, czy śpisz?

Cisza. Nawet sapanie umilkło. Więc pani Klementyna zawołała głośno:

— Adolfie!

Pan Adolf poruszył się nareszcie. Spytał, głosem przytłumionym przez resztki snu:

— Hę, Co się stało?

— Nic. Pytam się tylko, czy śpisz?

— No, teraz już nie. Słyszysz przecie, że się odzywam do ciebie. A co chciałaś?

— Niepotrzebnie jesteś taki opryskliwy. Mógłbyś być bardziej uprzejmy.

— Dlaczego się gniewasz? Człowiek ze snu... Nie dziw się. No, ale pocoś mię obudziła?

Pan Adolf mruczał w poduszkę, więc pani Klementyna nie dosłyszała.

— Jak chcesz ze mną rozmawiać, to mów tak, żebym to mogła rozumieć!!

— Ale ja wcale nie chcę z tobą rozmawiać. Przecie...

Pani Klementyna przerwała:

— Jesteś człowiekiem bez kultury! Jesteś arogancki!

— Eee, jestem poprostu śpiący i już!

Pan Adolf odwrócił się plecami. Jego żona milczała urażona. Ale nie długo.

— Znowu zaczynasz chrapać? Nawet mi nie możesz wyświadczyć tej drobnej przysługi?...

— Hę? Co za przysługi mam ci świadczyć po nocy?

— Jak nie, to nie. Wiesz, że się nie lubię o nic prosić.

— O co ci chodzi? Przecie nie wiem.

— O taką drobnostkę, żebyś zaświecił i zobaczył, która godzina.

Pan Adolf stęknął, dźwignął się ciężko i zawiecił lampkę. Stała na nocnej szafce. Szafka dzieliła oba łoża.

— Coprawda, to tobie tak samo blisko do tej lampy, jak i mnie.

Mruczenie pana Adolfa było bardzo niewyraźne, więc pani Klementyna nie zwróciła na nie uwagi.

— Która godzina, mój drogi?

Spojrzał na zegarek:

— Trzy kwadranse na dwunastą.

— O Boże!...

— No, i czego wzdychasz?

— Jak niewiesz, to zbyteczne, żebym ci objaśniała.

Chwila milczenia.

— Można już zgasić?

— A, rób co chcesz.

Światło zgasło.

Parę minut była zupełna cisza. Pan Adolf nie sapał, bo wybił się ze snu. Pani Klementyna milczała boleśnie.

Wkońcu jęknęła:

— O Boże, Boże!

Sprężyny łóżka jęknęły też.

Pan Adolf zapytał:

— Co ci jest? Boli cię co?

Odpowiedziała rozdrażnionym tonem:

— Nie, nic mnie nie boli. A jeżeli mnie co boli, to serce, że jesteś takim samolubnym i obojętnym ojcem.

Światło znów błysnęło. Pan Adolf usiadł na łóżku. Pani Klementyna siedziała też. Patrzyli na siebie niechętnie. On nie widział jej zbolałej twarzy, tylko siwiejące włosy poskręcane na węzełki papilotów. Myślał, że jest śmieszna i nieznośna.

Ona spoglądała na niego krytycznie i pogardliwie. Jak on staro wygląda... I jakie ma zaspane, głupie oczy... I ta rozchełstana koszula nocna... Och, jakie to wszystko nieestetyczne.

Nareszcie on zagadnął ze wzruszeniem ramion:

— Nie rozumiem, o co ci chodzi?

— Nie rozumiesz! Nie rozumiesz! No, to śpij lepiej! Tak! W chwili, gdy się ważą losy twojego jedynego syna. W chwili, gdy dochodzi dwunasta — ty śpij! A jego dotychczas niema i nie wiadomo, co się tam z nim dzieje!... O, Boże!

Drzwi się otwarły. Weszła starsza pani. Owinięta szalem. Oparta na lasce. Drżąca ze starości i zimna.

— Niema jeszcze Puńcia?

— Niema.

— Moja duszo kochana, czy aby mu się co nie stało?...

Pani Klementyna podjęła z ożywieniem:

— Właśnie. Już strasznie późno. Niemożliwe, żeby się tak przeciągnęła ta kolacja u Wierzyńskich. Powinien już tu być.

Pan Adolf owijał się szczelnie kołdrą.

— No to co, że powinien? Czy to młody chłopak zawsze wraca do domu wtedy, kiedy powinien?

— Mój Adolfie! Musisz chyba przyznać, że Puńcio został przeze mnie wychowany, tak jak należy. Mój syn...

A teściowa dołożyła:

— Nie sądź według siebie, moja duszo kochana. Nie poruszaj przeszłości. Wiem, dlaczego sprzeciwiałam się małżeństwu Klimci z takim człowiekiem, jak ty. Twoje kawalerskie hulanki... Szkoda mówić, Panie święty. Nie wykręcaj się, nie protestuj...

Protest pana Adolfa objawił się w odwróceniu się twarzą do ściany.

— Niech mama nie zwraca na niego uwagi. Przecie wiemy, że po nim można się zawsze tylko impertynencji spodziewać.

Obie panie umilkły. Pan Adolf trwał w kamiennym bezruchu.

Starsza pani postanowiła spocząć na fotelu. Siadała powoli, trzymając się lewą ręką stołu. Laska drżała silnie, przyciskana ręką prawą. Trzasnął zlekka fotel i przygiął się do ziemi. Starsza pani siedziała.

— Ciężka jest starość — westchnęła.

Pani Klementyna znów spojrzała na zegarek.

— O Boże, gdzie on może być? Czy to możliwe, żeby tak długo tam siedział? Niech mama powie, moja mamo.

Mama naciągała obie poły szlafroka i zakładała je na kolano. Szlafrok był z czarnej baji w białe grochy. Z pod niego wymykała się złośliwie koszula nocna.

— Czy ja wiem, duszo... Może zdeklarował się szczęśliwie i jest zaabsorbowany panną. Może go zatrzymali...

— No tak. Narzeczony może być na wyjątkowych prawach.

— Dałby Pan Bóg, żeby ten marjaż doszedł do skutku.

— Śliczna rodzina, doskonała pozycja...

Starsza pani wzniosła oczy z zachwytem:

— A jakie koligacje!... Najpierwsze rody! Mitra książęca w niedalekiem powinowactwie!

Z głębi poduszek wydostał się zduszony głos pana Adolfa:

— I co najważniejsze, weszlibyśmy z powrotem w sfery ziemiańskie.

A po chwili wątpiąco i ze zniechęceniem:

— Chociaż do djaska, to jest zawracanie głowy, paniedzieju. Z tej mąki chleba nie będzie.

Obie panie poruszyły się.

— Dlaczegoż to nie, moja duszo kochana? — przecedziła teściowa.

— A z czego ty to wnosisz? Skąd takie informacje? — równocześnie zirytowała się pani Klementyna.

Pan Adolf zmienił front. Obrócił się twarza do pań. Podniósł rękę z wyciągniętym palcem wskazującym:

— A cóż ty myślisz? Że hrabianka Wierzyńska, jedynaczka na dwóch tysiącach morgów, zechce akurat czekać na oświadczyny pana Pawła Gaszczyńskiego i na jego marne stanowisko? To jej nie zaimponuje. Ona może o wiele lepiej wyjść zamąż.

— Ja też mogłam wyjść lepiej za mąż, a wyszłam za ciebie — rzekła z obrażoną godnością pani Klementyna.

Pani starsza pokiwała z ubolewaniem głową:

— Tak, tak. A mówiłam, a prosiłam, a błagałam: Daj sobie, duszo kochana, spokój z tym człowiekiem...

— Cicho! Idzie!

Zgrzytał klucz w zamku. Potem skrzypiały ostrożnie kroki w sąsiednim pokoju.

Pani Klementyna wychyliła się z łóżka:

— Puńciu! To ty?

Niewyraźne mruknięcie za drzwiami.

— Chodź-no tu, Punieczku!

Starsza pani poprawiła się na fotelu i utkwiła oczy w drzwi.

Pan Adolf podniósł się powoli z poduszek i siadł.

Wszedł Puńcio.

Matka z babką spytały równocześnie:

— No? Co?

Pan Adolf spoglądał pytająco na syna.

On usiadł na krześle i w ogólnem milczeniu zapalał papierosa.

Matka zniecierpliwiła się:

— Jak było? Mówże!

— Ano, było ze dwanaście osób — zaczął Puńcio powoli. — Przyjęcie było wspaniałe...

— Mówże, duszo, o pannie. Zdeklarowałeś się? — dowiadywała się starsza pani.

— Napewno nie — sapnął ojciec.

— Oświadczyłeś się? — pytała natarczywie pani Klementyna.

Puńcio przełknął ślinę:

— Właściwie... nie... To znaczy, zacząłem... Ale się nie składało.

— Co się nie składało? Nie miałeś okazji?

— Wie mama... jakoś... właściwie.... trudno było zacząć.

— Naturalnie! Pewnoś zapomniał! Powiedziałeś to, com ci mówiła?

— A co mama mówiła?

— Jakto? Przecież miałeś tak zacząć: „Już dawno zwróciła pani moją uwagę"...

— Tom powiedział.

— Tak? I co ona?

Puńcio machnął ręką.

— Gadajże, do djaska, po ludzku! — huknął pan Adolf.

Puńcio wyprostował się sztywno na krześle.

— Ja jej oświadczyłem tak... a ona się zaczęła śmiać i powiedziała, że ja też zwróciłem jej uwagę...

Puńcio zakrztusił się śliną, którą z trudem przełykał.

— Powiedziała, żeś zwrócił jej uwagę? — gorączkowała się radośnie mama.

— Tak. Przez moją kędzierzawą łysinkę. I wstała i poszła.

Pani Klementyna osłupiała. Starsza pani westchnęła boleśnie:

— Boże! Co to za osoba bez wychowania!

— Szelma dziewczyna! — zawołał pan Adolf.

Puńcio wstał i podszedł do lustra.

„Kędzierzawa łysinka" — powiedziała.

Patrzył na swoją głowę. Porastał ją rzadziutki meszek. zwijający się w jasną mgiełkę nad głową.

— To niesłychane! — sapała matka. — Niesły-chane!

Puńcio wrócił na miejsce.

— I co ty na to, moja duszo kochana? — dopytywała babka.

— A noc, czekałem znowu okazji. Nie nadarzyła się. Nawet ostatni wyszedłem i — nic.

— Zostaw te papierosy! — zawołała gwałtownie pani Klementyna. — Już drugiego palisz!

Puńcio posłusznie zgasił papierosa.

Pan Adolf odwrócił się do ściany:

— Szkoda czasu i atłasu, paniedzieju. Nie tak łatwo powrócić do ziemi. Stracona szansa, do djaska!

— Poco tu siedzisz? Idź spać. Nie dość, że po nocy wracasz, jeszcze nam sen przerywasz — gniewała się pani Klementyna. — Zgaś lampę i wynoś się!

— Poczekaj, poczekaj, moja duszo kochana, niechże choć wyjdę. Bo po ciemku nie trafię — podnosiła się ciężko z fotela starsza pani.

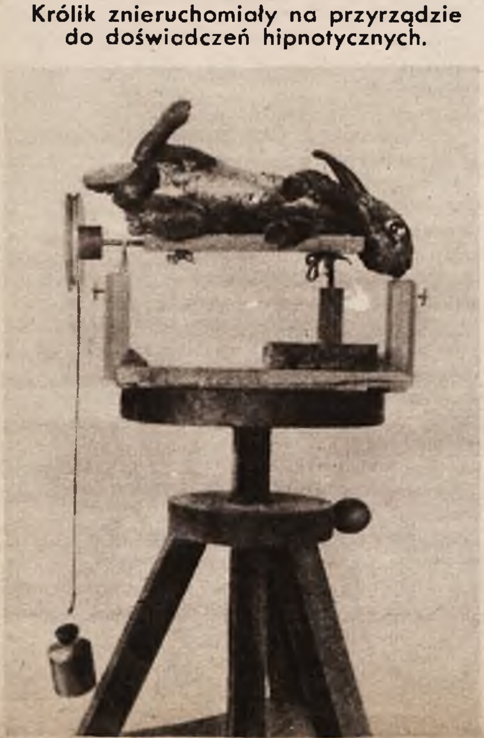
Dokończenie ze str. 18.

członki owada przez dłuższy czas mogą utrzymać się w nadanym im położeniu, w jakim w normalnych warunkach nie mogłyby się utrzymać. Podobne zjawiska zaobserwować można u zahipnotyzowanego człowieka. Posłuszny woli hipnotyzera człowiek może przyjmować dowolne i najdziwaczniejsze pozycje nie wykazując zmęczenia mięśni, co musiałoby nastąpić w warunkach normalnych z przyczyn czysto fizjologicznych.

Owada patyczaka można postawić nawet na głowie czy nadać mu inną pozycję, w której utrzymuje się przez pewien czas, bez zmiany położenia. W stanie bezruchu w warunkach naturalnych patyczak taki wyciąga pierwszą parę swych odnóży, przez co wydłuża się jeszcze bardziej, przybierając postać podobną do patyczka: stąd też pochodzi jego nazwa. Resztę odnóży układa ten owad wzdłuż swego ciała tak, że w istocie niewiele różni się od gałązki, na której siedzi.

Są takie wśród naszych wodnych pluskwiaków takie jak nartniki czy topielnice. które w podobny sposób układają swe odnóża a postać ich przypomina wtedy jakiś kawałek patyczka, trudnego do zauważenia, zwłaszcza na dnie stawu.

Królik znieruchomiały na przyrządzie do doświadczeń hipnotycznych.



Prócz tej naturalnej hipnozy, wywołanej przestrachem czy też obroną przed grożącem niebezpieczeństwem człowiek może wywołać jej objawy drogą celowych doświadczeń.

Od dawna umiano zahipnotyzować kurę w ten sposób, że wiązano jej silnie nogi albo też ściskano dziób i stawiano na podłodze, na której szybkim ruchem rysowano kredą kreskę, biegnącą od dzióba kury w prostym kierunku. Mimo zwolnienia nóg, kura pozostawała w bezruchu z wzrokiem utkwionym nieruchomo w kreskę. Podobnie łatwo udawała się hipnoza innych ptaków jak gęsi, kaczek, łabędzi i kanarków.

Znane są wypadki hipnozy u płazów dokonanej w bardzo prosty sposób, przez silne np. przyciśnięcie ogona. Podobnie zahipnotyzować można także gady takie jak jaszczurki i krokodyle, a nawet niebezpiecznego jadowitego węża-okularnika. Można go łatwo unieruchomić, jeżeli tylko pewnym i gwałtownym chwytem złapie się go tuż poza głową i ściśnie palcami grzbiet. Można mu wtenczas nadać dowolne położenie, wygiąć ciało jego i ułożyć dowolnie a pozostanie w niem przez dłuższy czas nawet przez kilkadziesiąt minut. Sposób ten bardzo często stosują zaklinacze wężów dla unieszkodliwienia tych zwierząt. Także niektóre z zwierząt wyższych jak króliki, świnki morskie, koty i psy można zahipnotyzować i to w bardzo prosty sposób przez wykonanie jakiegoś gwałtownego ruchu, ściśnięcie czy uderzenie. Wszystkie te sposoby stosowane przy hipnozie zwierzęcej odbiegają od tych, którymi posługuje się przy hipnozie człowieka. Stwierdzono jednak, że niektóre ze środków, które sprzyjają zahipnotyzowaniu człowieka, można z powodzeniem stosować u zwierząt, jak np. wpatrywanie się w jakiś świecący punkt czy przedmiot, lub kolejne zmiany oświetlenia lub wreszcie jakieś rytmiczne poruszenia. Ponieważ jednak pod hipnozą rozumie się wprowadzenie w stan senny połączony z bezruchem lecz ze wzmożoną sugestją i wrażliwością, zatem hipnoza zwierzęca, przy której czynniki psychiczne nie odgrywają roli, nie może zasługiwać na tę nazwę w ścisłym tego słowa znaczeniu. Mimo to jednak zjawiska te, które zachodzą w czasie hipnozy zwierząt, wykazują pewne podobieństwa do objawów towarzyszących hipnozie człowieka.

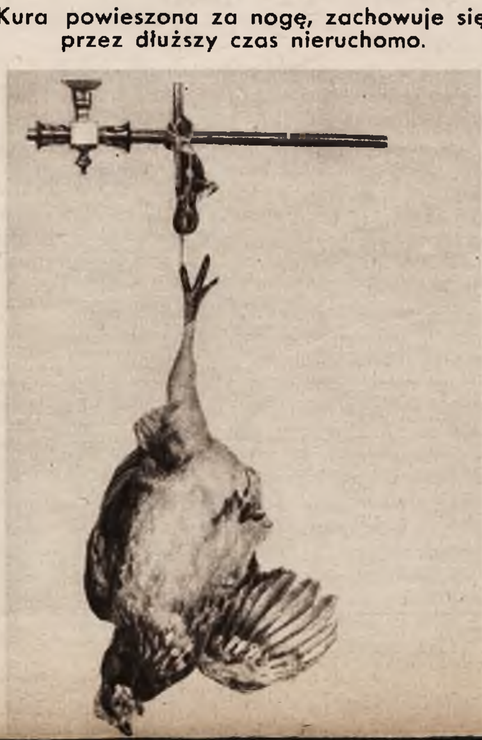
Interesujące i ciekawe doświadczenia nad hipnozą zwierzęcą przeprowadził niedawno znany wiedeński psycholog dr Leopold Thoma, który zajmuje się specjalnie hipnotyzmem i badaniami nad jego skutecznością jako środka leczniczego.

W swych eksperymentach posługiwał się on szympansem a więc jedną z małp człekokształtnych, odznaczających się dużą inteligencją. Nagłe nadawanie nienaturalnej pozycji, które u królików lub kuropatw czy kurcząt wywoływało stan hipnotyczny, u szympansa nie dawało rezultatu. Dr Thoma zastosował więc odmienne środki. Zbadał najpierw wrażliwość kilku szympansów, która ujawniała się pod wpływem muzyki. Okazało się przy tem, że większe wrażenie sprawia na małpy sentymentalne tango, aniżeli szybka i zawrotna melodja fokstrotta. Z pośród czterech badanych szympansów wybrał on jednego najwrażliwszego i poddał go hipnozie, stosując środki używane przy hipnozie ludzkiej. Przez zwrócenie uwagi małpy na błyszczący przedmiot, przez wpatrywanie się w jej oczy oraz ruchy rąk i monotonne wymawianie pewnych wyrazów wprowadził małpę w trans, trwający kilka minut.

Doświadczenie to zapowiadające szereg innych, podobnych, idących w tym samym kierunku przyczyni się niewątpliwie do wyświetlenia wielu szczegółów z życia psychicznego wyższych zwierząt.

Dr Z. M.

Kura powieszona za nogę, zachowuje się przez dłuższy czas nieruchomo.



Moda zbliżającego się sezonu wiosennego nie oznacza, podobnie jak w ubraniach, koloru materjałów, przeznaczonych na płaszcze o charakterze pół sportowym. Dotyczy to przedewszystkiem grubych szewiotów o wzorze „Donegal", który odznacza się węzełkami kończącemi nić wełnianą tkaniny, a rzuconemi na płaszczyznę materjału w postaci barwnych punktów. Ten gatunek tkaniny na płaszcze może być utrzymany w dowolnych kombinacjach bronzowo i zielono-białych, jak i granatowo, lub czarno-białych. Zagraniczne żurnale przeznaczają Donegal na ulstry, noszone z paskiem jako płaszcze do podróży koleją lub samochodem, oraz raglany jednorzędowe, a nawet slipony, mimo, że przy tych ostatnich najchętniej dobieranym kapeluszem pozostanie czarny melon.

Brummel.





ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ

Zaczniemy wnet nosić

ULSTRY I RAGLANY

KORONKI CZÓŁENKOWE

M. M. DUDREWICZOWA

III.

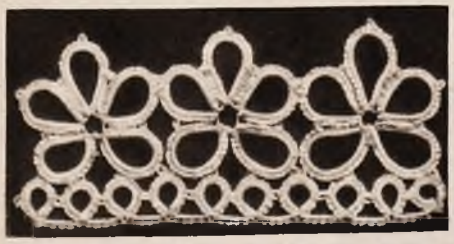
TRZY BARDZIEJ SKOMPLIKOWANE WZORY.

KORONECZKA NR. 1 jest ozdobniejsza i składa się z dwóch rzędów, z których każdy robi się osobno, czółenkując koroneczkę wzdłuż. Najpierw robi się rząd kółek, a dopiero na nim powstają ząbki.

Rząd pierwszy, składający się z kółek, ozdobiony jest nitką przeciągniętą przez środek wszystkich kółek. Każde kółko składa się z 22 słupków, a poza tem mają one po 2 oczka na górze i po 2 na dole. Pomiędzy oczkami czółenkuje się po jednym słupku. Ponadto każde kółko ma z prawej strony po jednem oczku, służącem do spajania z następnem kółkiem.



Rys. 1.



Rys. 2.



Rys. 3.

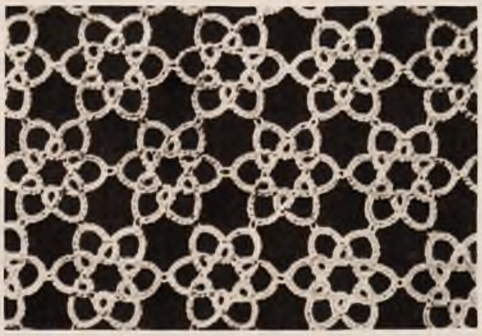


Rys. 4.



Rys. 5.

Bieg ściegów kółeczka jest następujący: zaczyna się, jak zwykle, z lewej strony, wykonując 5 słupków — 1 oczko — 1 słupek — 1 oczko — 5 słupków — 1 oczko — 5 słupków — 1 oczko — 1 słupek — 1 oczko — 5 ostatnich słupków. Kółko gotowe. Ściąga się je nitką z czółenka i przeciąga nitkę spodem kółka, środkiem, na prawą stronę, gdzie przez prawe oczko przeciąga się nitkę szydełkiem, a przez utworzone duże oczko przewleka się czółenko. Dalsze kółka robi się w ten sam sposób, poczem należy je dołem obszydełkować, aby się umocniły i nie przekręcały w robocie.



Rys. 6.

Gdy gotowy jest pierwszy rząd kółek w potrzebnej długości, wykonuje się drugi rząd przy pomocy drugiego czółenka. (Gdy go nie mamy pod ręką, można sobie dopomóc kawałeczkiem kartonu, na który nawija się nici, zaczepiając o nadcięty bok kartonu).

Teraz przywiązuje się dwa końce nitek (z dwu czółenek lub z czółenka i kartonu) do lewego oczka u góry pierwszego kółka koroneczki. Jedna nitka będzie formowała słupki i oczka, założona na palce lewej ręki, druga będzie stale naprężona i na niej powstawać będą tamte słupki i oczka. To też pierwszą nitką otaczamy cztery palce lewej ręki od zewnątrz i owijamy ją na ostatnim palcu kilka razy, aby się nie ruszała.

Następnie czółenkuje się kolejno 2 słupki — 3 oczka — a między niemi po jednym słupku i na zakończenie 2 słupki. Razem 6 słupków i 3 oczka. Po zrobieniu ostatniego słupka zaokrągla się wykonany ząbek i spaja przy pomocy szydełka w prawym oczku na górze pierwszego kółka. Następuje 3 słupki na linji poziomej, potem spojenie w lewym oczku następnego kółka i tak aż do końca koronki, stale z lewej ku prawej stronie.

KORONKA NR. 2 zrobiona jest z dużych liści, które wykonuje się każdy z osobna, a potem się je dopiero łączy z paskiem małych listeczków. Trzeba ją robić skutkiem tego dwoma czółenkami, najpierw pasek listeczków, potem listki większe.

W naszej reprodukcji koronka ta wykonana jest z bardzo grubej bawełny Nr. 3.

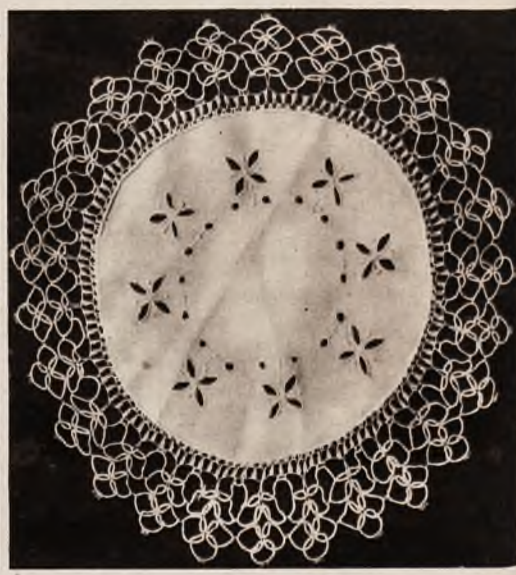
Każdy duży liść składa się z 5-ciu listków, średniej wielkości, które mają po 30 słupków i 3 oczka, a to dwa oczka po bokach i jedno na wierzchołku.

Małe listeczki wykonuje się z 14 słupków. Każdy z nich ma także po 3 oczka do spajania (na wierzchołku i po bokach). Brzeg przy małych listeczkach czółenkujemy na dodanej nitce lub osobnem czółenkiem. Pomiędzy listeczkami wypada po 5 słupków. Zaczynamy te listki czółenkować, jak zwykle, od lewej ręki. Po zrobieniu 14-tu słupków, ściąga się kształt listka, zwraca stroną zakończenia ku górze, dobiera drugie czółenko lub nić na kartoniku nawiniętą i czółenkuje 5 słupków w linji poziomej. Po jej zakończeniu wraca się do pierwszego czółenka, niem wykonuje się następny listek i tak postępuje się do końca roboty.

Gdy przygotowany jest pasek listków małych, przystępuje się do listków złożonych, łącząc je z wierzchołkami listków małych. Po skończeniu każdego dużego liścia złożonego odcina się nitkę i zakańcza ją igłą na lewej stronie roboty. Pomiędzy sobą spaja się je w dwóch lub trzech miejscach.



Okrągła koronka czółenkowa do haftowanej serwetki.



Łatwa koroneczka do serwetki.

(Pasek z malemi listkami można też wykorzystać jako osobną koroneczkę. Wtedy pomiędzy listkami czółenkuje się nie 5, a przynajmniej 15 słupków z jednem lub kilkoma oczkami na środku. Wierzchołki listków, które są zwrócone w dół należy wtedy obszydełkować, by brzeg wyrównać, dla łatwiejszego obszycia serwetki itp. Ale w takim razie na wierzchołkach listków robi się po 2 oczka, by było łatwiej obszydełkować i uzyskać równą linję poziomą).

KORONKA NR. 3 dałaby się wyciągnąć — w teorji — na jeden bardzo długi pas, złożony z listków dużych z jednej i małych z drugiej strony. Tu we wzorze wykonuje się też taki pasek, ale łączony cały czas przez listki i listeczki i ze wszystkich stron, ze sobą nawzajem. Zależnie od potrzebnej szerokości koronki, można tworzące tę koronkę podłużne zęby wydłużać lub skracać, a wtedy uzyska się szerszą lub węższą koronkę. W każdym razie wzór przeznaczony jest przedewszystkiem na koronki szerokie, np. do firanek, kap, serwet lub do bielizny kościelnej.

W naszej reprodukcji próbka tej koronki oparta jest o zasadniczą szerokość dziesięciu większych i dziewięciu mniejszych listeczków.

Dokończenie na str. 31-ej

ŻYCIE
artystyczne

MARY DIDUR W „TAŃCU SZCZĘŚCIA"

POWRÓT „CHÓRU DANA"

Doskonały zespół wokalny Dana odbywa od dłuższego czasu wielkie podróże artystyczne. Po tournée koncertowem w Rosji Sowieckiej i w Niemczech wyjechali sympatyczni „Danowcy" do Stanów Zjednoczonych, gdzie dali się słyszeć w trzydziestu kilku miejscowościach. Podróż ta trwała zgóra trzy miesiące i postawiła „Chór Dana" w rzędzie światowych atrakcyj artystycznych, o które ubiegają się dziś największe biura koncertowe. W tych dniach powrócił „Chór Dana" do kraju. Na zdjęciu widzimy go na tarasie luksusowej willi w Miami na Florydzie.





Warszawski teatr „8.15" wystawił ostatnio doskonałą operetkę Stolza „Taniec szczęścia", która przebojem zdobyła sobie uznanie publiczności. Na ten sukces złożyły się przedewszystkiem walory samego utworu, który odznacza się wesołem i dowcipnem librettem, oraz bardzo melodyjną muzyką. Niemniej przyczyniło się tu i niezwykle staranne wystawienie operetki, przyczem zestawienie zespołu aktorskiego uznać należy za sukces tego teatru. Dotyczy to w pierwszym rzędzie Mary Didur, primadonny, rozporządzającej pięknym głosem, świetnymi warunkami scenicznemi, urodą i olśniewającemi tualetami, następnie Lucyny Szczepańskiej niezapomnianej Rose Marie, odznaczającej się wielkim urokiem i słowiczym głosem. Rakowiecki, znany z ekranu, jest dziś najlepszym wodewilistą młodego pokolenia. Gierasieński odrodził się w operetce i po sukcesie, jaki mu przyniósł ostatni jego występ powinien w niej na zawsze pozostać. Reżyser Zdzitowiecki włożył w całość dużo smaku i staranności. Dekoracje Wandy Jewniewiczowej zasługują na specjalne podkreślenie. Na zdjęciu: Mary Didur w otoczeniu zespołu wykonawców.

„MOST" J. SZANIAWSKIEGO

Teatr im. Bogusławskiego w Kaliszu wystawił sztukę Jerzego Szaniawskiego przy bardzo trafnej obsadzie aktorskiej i reżyserji, przynoszącej zaszczyt dyrektorowi Iwo Gallowi. Nadał on też sztuce odpowiedni ton i nastrój przez swą wysoce artystyczną i opracowaną w najdrobniejszych szczegółach inscenizację. Na czoło wykonawców wysunęła się p. Halina Gallowa w roli studentki Heleny, p. Juljusz Balicki w roli architekty i p. Stanisław Bryliński w roli przewoźnika. Na zdjęciu pp. Halina Gallowa i Adam Rokossowski (wywiadowca).



WYSTĘPY ARTYSTÓW SCEN WARSZAWSKICH W KRAKOWIE

Ostatnio występują w Krakowie na deskach teatru rewjowego artyści scen warszawskich, owacyjnie przyjmowani przez publiczność, która oklaskuje ich produkcje wokalne i taneczne. P. Eugenja Honarska dysponuje dobrze postawionym głosem i miłą aparycją — p. Taisa Puchalska prezentuje walory rutynowanej subretki operetkowej — p. Tadeusz Faliszewski, znany z płyt gramofonowych piosenkarz, demonstruje rozległą skalę swego talentu interpretacyjnego — p. Wacław Jankowski stwarza niezwykle udatne sylwetki charakterystyczne. Wymienionym artystom sekunduje doskonała para baletowa w osobach pp. Ireny Jedyńskiej, primabaleriny opery katowickiej i baletmistrza Jana Fabiana.



Taisa Puchalska.



Wacław Jankowski.



Eugenja Honarska.



Tadeusz Faliszewski.



Irena Jedyńska i Jan Fabian.



PARISIANA



Dwa modele sportowe: płaszcz z tweedu i kostjum z homespunu.



Na prawo:
Wełniany komplet (na płaszczu kołnierz i klapy z lisa w kolorze materjału) i kostjum z grubego jedwabiu.



Na prawo:
Niezwykle oryginalny model kapelusza słomkowego.

Bywając niemal co roku w Paryżu, lubię odnawiać dawne znajomości i to nietylko wśród Francuzów, ale i w kołach etranżerów z całego świata, którzy to miasto często obierają sobie za stałą siedzibę, przydając mu nawet coś ze swych indywidualności. Paryż, bez tego ciągłego ruchu wielkich falang obcych przybyszów, jest prawie że nie do pomyślenia.

— Hallo, czy Madame Sylvia? — dzwonię o zapowiedzianej godzinie.

— Nie, pani już wyszła, ale pragnie się z panem spotkać w jednym z domów mody, dokąd właśnie pojechała. Schiaparelli, Rochas, Reboux... lub może Antoine.

— Dziękuję, zaraz się udaję na poszukiwanie.

Place Vendôme... Schiaparelli: biała fasada domu, biały hall. W klatce schodowej złocona winda, w której duża ilość strapontinów pomieści odrazu kilkanaście osób. — U góry zawieszona klatka z papugą...

Białe salony otaczają jakby korytarze, oddzielone złotemi barjerami, z poza których nie można wydostać się żadną miarą, jeżeli środkiem przechodzą manekiny.

Wejście tylko za zaproszeniami: „Invitation personnelle". Zebranie jest liczne. Dużo kobiet z towarzystwa, dziennikarki, agentki i agenci zagraniczni, których obowiązkiem jest sygnalizować zatrudniającym ich firmom zmienne tendencje mody. Schiaparelli, której udało się zdobyć rynek sowiecki, która dla Londynu stanowi ideał Paryża, jest na ustach wszystkich, choć jeszcze nie ukazała się na sali.

Defilada tualet trwa. Pierwsze idą modele londyńskiej filji Schiaparelli. Wszystko pod znakiem niedalekiej koronacji... Wszystko ozdobione koronami. Futra, aksamity, filc, guziki — nie brak ich naturalnie i w fryzurach.

Teraz zwracają moją uwagę główki wilków i lisów, umieszczone nad czołem na malutkich kapelusikach z aksamitu lub na piersiach przy sukniach wizytowych. Za niemi czapki frygijskie, jakieś fantastyczne kostjumy i dużo kardynalskiej purpury.

Ogólne poruszenie wywołuje model rękawiczek, które imitują doskonale nagą rękę. Począwszy od paznokci aż po wszystkie niebieskie żyłki i linje dłoni, wszystko imituje do złudzenia naturalną rękę — choć to rękawiczka...

Ale już inna zkolei sensacja zwraca naszą uwagę. To kostjum kąpielowy, przeznaczony na eksport do Palm-Beach. Ponieważ moda nakazuje teraz w Ameryce jak najjaśniejszą cerę na plaży, więc kostjum osłania najdokładniej całą postać aż po usta i oczy... Coś, jak gdyby kostjum kotka lub Mickey-Mouse.

Szmer wzrasta, gdy ukazuje się sama Elsa Schiaparelli, ubrana najskromniej ze wszystkich tu obecnych, niby pensjonarka, w zapiętym pod szyję mundurku. Przesuwa się przez salony z miną najdoskonalej obojętną, ze spokojną arogancją osoby, odczuwającej swą wyjątkową tutaj pozycję.





Z czarną taftą harmonizuje słomkowy kapelusz, przybrany kwiatami i dłuższą woalką, oraz rękawiczki z czarnej siatki...



Ale Madame Sylvia, dla której tu przyszedłem, nie pokazała się. Wyciągam notes z litanją firm. z któremi mam wyznaczone spotkanie.

Pójdźmy do Rochas!

Tu może jeszcze ciaśniej. Jak ja znajdę moją Sylwję?

Defilują modele à la Marlèna Dietrich, à la Greta Garbo... Marcel Rochas przeprowadza je spokojnie, wzrokiem, najzupełniej przypadkowo tu zabłąkanego ducha.

Jakże ekscentrycznie wyglądają kieszonki przesuwających się sukienek sportowych. Każda z nich. to inne dziwo. Tu parasole, tam torebki, portmonetki, a nawet rękawiczki.

— To Annette-Martin projektuje te drobiazgi — objaśnia uprzejmie Marcel Rochas. — Z zadziwiającą łatwością wyskakują z pod jej ołówka coraz to nowe pomysły.

Dla kontrastu wchodzi model sukienki bryдżowej z lekkiej wełny. Krótka, plisowana z góry na dół, jest wzorem skromności. Nosić ją zapewne będzie jakaś Amerykanka, w której domu licytuje się sto dolarów za punkt...

— Gdzież ta Sylvia?... Mam jeszcze w notesie dwa nazwiska. Spieszmy, aby nie było zapóźno.

Długie, zwierciadlane korytarze wiodą mnie do magazynu Paul Reboux. Tu słyszy się przedwszystkiem imię Lucienne. Ona to jest właściwą inspiratorką mody tego magazynu. Znajoma Sylvii, więc zaraz zapytuję, czy jest w którymś z salonów. Nie, nie była, lecz telefonowała, że za pół godziny będzie u Antoine'a.

Rzucam okiem na mnóstwo fatałaszków, które przechodzą z głowy na głowę. To przegląd kapeluszy. Kwiaty, pióra, wstążki... Któryż z nas potrafi opisywać dzisiejsze modne kapelusze?

W każdym razie niema tu modeli po kilkadziesiąt franków, choć wiele pań po zakupieniu drogich modeli będzie potem opowiadało ze skromną minką swym przyjaciółkom: „To zakupione na wysprzedaży w Galeries Lafayette, prawda, że może ten kapelusz uchodzić za model Reboux?...". A inna postąpi odwrotnie, podając kapelusz zakupiony „aux soldes" za ostatnią kreację Reboux, czy Agnès.

Pędzę do Antoine'a — rue Cambon: Czy jest Madame Sylvia?... Zdaje się, że tak; oto tam w głębi. Przesuwam się posłusznie, choć onieśmielony ku salonowi, gdzie w skafandrach na głowie poddają piękne panie osuszającym zabiegom swe włosy. Obok bezszelestnie spełniają swe obowiązki mistrzowie — Henri, Mario... i inni. Widzę na paznokciach jednego z nich ciemne plamy. Czy to krew na palcach Don Juana?... Ach, nie. To tylko poprostu henna, bez której nie obejdzie się wiele dam.

Tam w głębi, to rzeczywiście jakby ona. Dyskretnie zbliżam się, by zajrzeć pod skafander... Boże! Te kobiety wyglądają jak pulardy, świeżo w ogniu pieczone. Ale mej Sylvii niema. Czekam w saloniku obok. Gwar nie do opisania. Piękne panie usiłują przekrzyczeć jedna drugą, gdyż w szumie aparatów elektrycznych niełatwo prowadzić rozmowę. Mimo to toczy się ona nieustannie, często na najdelikatniejsze tematy. Nie brak w nich i polityki. Nazwiska ministrów padają z odpowiedniemi epitetami. Panie nie stronią od poltyki, bynajmniej. Tu nawet mają więcej powodzenia dzienniki polityczne od przeglądów mody.

W bocznym salonie obserwuję samego Antoine'a. Stoi za krzesłem klientki jak anioł opiekuńczy; oddala się, zbliża, pochyla, przechyla głowę... Wyjmuje maleńki grzebyk z kieszeni i ostatnim dotykiem muska wykończone loki, rozstrzępiając je z boku w delikatną mgłę. Jego długie palce oplatają szybkiemi ruchami całą głowę klientki, jak gdyby pieścił się swem wykończonem dziełem. W lustrze widzę twarz rozmarzonej, „w niebowziętej" kobiety z przymkniętemi na pół oczami, które od czasu do czasu podnoszą się ku „mistrzowi". Mogę się domyśleć, co do niej mówi, choć nie słyszę słów...

— Jakie wspaniałe są pani włosy! W tej fryzurze całość jest doskonałem pięknem, którego przecież poszukujemy w życiu na każdym kroku. Oto je mamy! Nie dajmy mu rozwiać się przedwcześnie. Proszę spojrzeć i podziwiać swą urodę...

Czy doczekam się Sylvji? Próbuję raz jeszcze zasięgnąć o niej informacji u manicurzystki.

— Owszem, Madame Sylvja była tu dziś rano, ale przed jakimś kwadransem odeszła.

Pędzę do telefonu. Avenue Foch. Czy Madame Sylvja w domu?

— Pani prosiła, aby Pan pofatygował się w środę o 3-ciej, aby pójść wspólnie do kilku magazynów....

Czy można liczyć na słowo światowej kobiety w Paryżu?

Późnym już wieczorem zaglądam do notatek... przypominam sobie szereg widzianych obrazów, które wirują przed sennemi oczami...

Dokończenie na str. 31.

Na lewo: Kostjum z jedwabiu w drobne paseczki — kapelusz ze słomki, z woalką do połowy twarzy.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. IMRE VON SANTHO.



Na prawo: Atłasowy peniuar, przybrany koronką.

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

ZUPA PIECZARKOWA PURÉE. 10—12 oczyszczonych pieczarek udusić na łyżce masła wraz z małą pokrajaną cebulą. Osobno gotuje się rosół na szpikowych kościach, a gdy pieczarki uduszone, a szpik w kościach ugotowany, wyjmuje się go z kości i przeciera wraz z pieczarkami przez sito. Wkońcu zaprawia się zupę lekką zasmażką, zagotowuje i wydaje na grzankach z chleba. Osobno dla amatorów tarty parmezan.

WĘDZONE MIĘSO PO CYGAŃSKU. Kawałek (50 dkg) wędzonego, chudego karczku wieprzowego wymywa się, wzgl. o ile słone, moczy się je w wodzie z mlekiem, następnie gotuje z ½ kg przepłokanej i odcedzonej kwaśnej kapusty. W międzyczasie smaży się pokrajaną cebulkę na łyżce wytopionej słoninki, zasypuje łyżką mąki, zasmaża i rozprowadza troszką wystudzonego kwasu z kapusty tak, aby zasmażka była zupełnie gładka. Ugotowane w kapuście mięso wyjmuje się i stawia w cieple, kapustę zaś przyprawia się przygotowaną zasmażką, dodaje ¼ litra kwaśnej śmietany, łyżeczkę kminku, papryki i kontroluje czy dość słona. Zwykle wygotowuje się z mięsa tyle soli, że dosalać nie trzeba, dlatego zaleca się co do soli ostrożność. Mięso pokrajane w plastry kładzie się na środku półmiska i otacza kapustą na gęsto doduszoną.

JAJA W AUSZPIKU. 50 dkg mięsa wieprzowego i cielęcego oraz małą w mleku rozmoczoną bułkę przemiela się dwa razy, dodaje 2 całe jaja, łyżeczkę soli i szczyptę pieprzu, oraz dwie łyżki mleka i uciera ten farsz przez 10—15 minut, aż dobrze spulchnieje. W farsz ten zawija się 8—10 jaj na twardo ugotowanych, osypuje tartą przesianą bułeczką i smaży w mieszanym tłuszczu na rumiano. Ostudzone przekrawuje się wzdłuż, układa żółtkami na wierzch na salaterce, ubiera kaparkami, piklami, buraczkami itp. wedle upodobania i zalewa auszpikiem, poprzednio przygotowanym i zaprawionym bulionem, sokiem cytrynowym i szczyptą cukru (Dokładny przepis przyrządzania auszpiku podany był w Nrze 52 z 27. XII. 1936 Asa). Jaja ułożone na muszelkach i zalane auszpikiem wyglądają bardzo ładnie.

SAŁATA ŚLEDZIOWA. Potrzebne dodatki są: duży śledź mleczak, obciągnięty ze skórki i namoczony na kilka godzin w mleku, 10 dkg jakiegokolwiek mięsa pieczonego, którego jednak w razie przyrządzania sałaty postnej można zastąpić gotowaną rybą, 6—8 większych gotowanych ziemniaków tzw. rogalków, 8 dkg kwaśnego ogórka, 8 dkg kwaśnego jabłka, 6 dkg gotowanych buraczków (do ubrania sałaty), 1 dkg kaparków, 2 jaja twarde, kawałek gotowanego selera, małą drobno pokrajaną cebulkę. Wszystkie dodatki prócz jaj i buraczków kraje się drobno i miesza z sosem, sporządzonym wedle przepisu, który poniżej podajemy, układa sałatkę płasko na salaterce i przybiera po wierzchu posiekanemi drobno buraczkami, posiekanym szczypiorkiem i żółtkiem z jaj, naznaczywszy poprzednio zapomocą szablonu wyciętego z papieru jakiś wzór geometryczny na sałatce. Wszystko otacza się jarmurzem lub zieloną pietruszką. **Przepis na sos:** Mleczko śledzia przetarte przez sitko, uciera się z surowem żółtkiem, dolewając po kropli 4 łyżki stołowej oliwy. Wkońcu dodaje się do sosu łyżkę kremskiej musztardy, szczyptę cukru i białego pieprzu.

BUDYŃ ORZECHOWO-KAWOWY. Utrzeć 10 dkg mączki cukrowej z 3 żółtkami, dodać trzy łyżki mocnej kawy, 12 dkg mielonych orzechów włoskich, pianę z 3 białek i 4 dkg tartej bułki. Masę nałożyć do formy budyniowej, natartej masłem i wysypanej bułeczką. Gotować na parze godzinę. Podaje się z kremem kawowym lub bitą śmietanką.

LEGOMINA MAKARONOWA Z MAKIEM. 20 dkg drobnego makaronu domowego gotuje się w słonej wodzie, odcedza i przelewa zimną wodą. Osobno uciera się 5 dkg masła z 2 żółtkami, 8 dkg cukru, troszkę skórki cytrynowej i miesza z makaronem. 10 dkg mielonego maku słodzi się cukrem (2—3 łyżek), dodaje 2 łyżki mleka i łyżeczkę miodu oraz rumu i trochę rodzynków, i zagotowuje szybko wśród mieszania. Ostudzony mak miesza się z pianą ubitą z pozostałych 2 białek. Połowę przygotowanego makaronu nakłada się do masłem natartej formy, przekłada masą makową, daje drugą połowę makaronu, kropi suto masłem, posypuje cukrem i piecze do różowa w miernie gorącym piecyku.

KARP NA SPOSÓB WŁOSKI. Pokrajanego w dzwonka karpia układa się w brytwance na świeżem maśle i polewa kilku łyżkami kwaśnej śmietany, posypuje trzema łyżkami parmezanu zmieszanego z roztartym lub drobno posiekanym ząbkiem czosnku i wstawia do gorącego piecyka na 30—40 minut, zależnie od grubości dzwonków ryby. Polewać należy wypływającym sokiem aż do zrumienienia się ryby. Jako dodatek podano w oryginalnym przepisie, makaron, nadają się tu jednak również tarte ziemniaczki lub kaszka krakowska.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



JAK SMACZNIE PRZYRZĄDZAĆ ZIEMNIACZKI?

Przy podawaniu na stół przysmażanych ziemniaczków, które się kraje w plasterki, dobrze jest zaopatrzyć się w odpowiednią ramkę z poprzecznemi nożykami. Jednym ruchem ręki uzyskujemy wtedy płatki z całego dużego nawet ziemniaka, który, choć ugotowany czy upieczony, nie kruszy się następnie, jak przy krajaniu nożem. Jeżeli chodzi o krajanie surowych ziemniaków, to użyć trzeba przyrządu mocniejszego, posiadającego dwa uchwyty, aby przez odpowiedni nacisk pokonać silną spoistość cząstek surowego ziemniaka. Przyrządem tym posługujemy się przy t. zw. „pommes frites".



7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

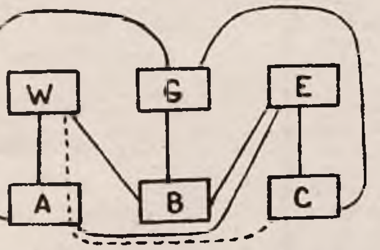
Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 8	Luty — 28 dni
NIEDZIELA 14 Walentego	Zupa pieczarkowa.Omlety z szynką i móż=dżkami.Pularda z rożna z garniturem z jarzyn.Budyń orzechowy z kremem kawo=wym. Kolacja:Jaja w auszpiku.
PONIEDZ. 15 Faustyna m.	Rosół z lanem ciastem.Sztuka mięsa z sosem à la diable.Pieczeń cygańska.Naleśniki z konfiturami. Kolacja:Sałata śledziowa z wędliną.
WTOREK 16 Juljanny p.	Zupa grzybowa z płatkami.Salsefia i bulwy w sosie holenderskim z ziemniaczkami.Polędwica wołowa po angielsku z fritkami.Kompot mieszany z konserw. Kolacja:Parówki lub polędwica z zimnym sosem musztardowym.
ŚRODA 17 Konstancji † S d	Rosół z drobiu.Brukselka z masłem lub w białym sosie.Kura z rosołu z sałatą z kwaśnej kapusty.Suflet czekoladowy. Kolacja:Jaja w szklance,ser domowy.
CZWARTEK 18 Flawjana	Zupa cytrynowa z ryżem.Jarmuż z jajami.Sztufada z pieczeni cielęcej z kluseczkami lub krokietkami z ziemniaków.Kompot z jabłek i suchych śliwek z keksami. Kolacja:Kruszka cielęce w sosie.
PIĄTEK 19 Konrada † S. d.	Ziemniaczanka.Kapusta włoska z rumianem masłem.Karp na sposób włoski z kaszką.Legomina makaronowa z makiem. Kolacja:Rolmopsy,ziemniaczki pieczone bez skórki.
SOBOTA 20 Nicefora † S. d.	Barszcz na rosole.Jaja w sosie śmietanowym.Zrazy zwijane z kaszą tatarczaną.Omlet francuski z marmoladą jabłeczną. Kolacja:Hachée z mięsa rosołowego z sadzonem jajem.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Rozwiązania z N-ru 6-go.

WODA, GAZ I ELEKTRYCZNOŚĆ.



Zadanie pozornie nie daje się rozwiązać, jeśli jednak właściciel domu A zgodzi się na przeprowadzenie rur wodociągowych do C pod jego domem (a przypuszczamy, że nic nie będzie miał przeciwko temu), to rozstrzygnięcie problemu nie będzie przedstawiało żadnych trudności przy zachowaniu warunków, gdyż — jak to widać z rysunku — przewody się istotnie nie przecinają.

PODZIAŁ SPADKU.

Zapisy wynosiły 2400 zł i 7600 zł: jeśli 800 (jedną trzecią 2400) odejmiemy od 1900 (jedna czwarta 7600), reszta wynosi 1100.

KURCZĘTA.

Kupiec kupił 75 kurcząt, każde po 80 gr. Pozostałe 60 kurcząt sprzedał po 90 gr. każde, otrzymując razem 54 zł.

WIEK NIEBOSZCZYKA.

Nieboszczyk urodził się w roku 1856 i zmarł w 1920, mając 64 lat. Jeśli wiek w chwili śmierci oznaczymy x, to data urodzin = 29x. Ponieważ rok urodzin + wiek = rok śmierci, więc ten ostatni = 20x + x = 30x .Rzecz oczywista, iż nieboszczyk musiał umrzeć między 1900 a 1936 r. i to w roku 30x, czyli podzielonym przez 30 Rokiem tym może być tylko 1920, który podzielony przez 30 daje 64. W roku ślubu miał więc 44 lata.

WSKAZÓWKI ZEGARA.

Było wówczas $5^{5}/_{14}$ minut po drugiej.

TEST NA INTELIGENCJĘ.

Ponieważ śpiący zmarł nagle, więc nie możemy wiedzieć co mu się śniło.

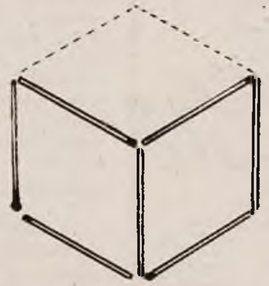
SREBRO I ZŁOTO.

$35^{13}/_{17}$ gramów złota i $64^{4}/_{17}$ gramów srebra.

RODZINA.

Matka i ojciec mają po 36 lat, zaś dzieci są to trojaczki sześcioletnie. Suma lat wszystkich członków rodziny wynosi 90 i wszystkie pozostałe warunki zadania są spełnione.

SZEŚCIOKĄT I ROMBY.



Na rysunku kropkowaną linją jest wskazane pierwotne położenie dwóch przesuniętych zapałek.

Dokończenie ze str. 26-tej

Czółenkujemy tę koronkę, rozpoczynając z lewej strony od małego listka. Listki małe mają tu po 10 słupków z jednem oczkiem na wierzchołku. Listki duże mają po 20 słupków i po 3 oczka łączenia, przyczem brzegi boczne i dolne mają w tych listkach po 5 oczek, a to dla ozdoby.

Po zrobieniu pierwszego małego listka zostawia się niedługi kawałeczek nitki i wykonuje duży listek zwrócony w drugą stronę (tu jakoże na brzegu z 5-ma oczkami). Po jego zamknięciu zostawia się także niedługi kawałeczek nitki i następuje mały listek, zwrócony znów w przeciwną stronę, w kierunku poprzedniego małego listka.

Następne duże listki łączone są zawsze z sobą przez pierwsze oczko wierzchołkowe, skutkiem czego mają one już tylko po 4 oczka wierzchołkowe. Są to listki od 2—11, poczem do końca zębu, czyli listki 12—19 mają tylko po 2 oczka, któremi łączą się ze sobą. Przylegające do nich listki 1—8 następnego zęba mają już tylko po jednem oczku, łącząc się jednym bokiem i wierzchołkiem z oczkami sąsiedniego listka.

Gdy wykona się pierwszych 7 par listków (mały i duży), w następnym małym listku (8-mym) robi się 2 oczka wierzchołkowe, gdyż od 9-tej pary listków zakręcają się one w duży ząb, a to przez skracanie łączących listki nitek i ciaśniejsze łączenie małych listków. I tak 9-ty mały listek łączy się z ósmym przez jego drugie na prawo oczko wierzchołkowe. Następuje wykonanie trzech dużych listków ściśle obok siebie, co stanowi wierzchołek dużego zęba. Po skończeniu trzeciego z tych trzech dużych środkowych listków przychodzi mały listek po krótkiej nitce. Wierzchołkiem swym łączy się z wolnem oczkiem poprzedniego małego listka (9-go). Zaraz obok robi się drugie oczko, które posłuży do złączenia z następnym małym listkiem. Najpierw jednak robi się duży listek (12-ty duży) o dwu oczkach, który z poprzednim łączy się przy pomocy jego 4-go oczka. Następny mały listek po krótkiej nitce, jeszcze jak poprzednie, złączony jest ciasno w dwu punktach pozostałych mu do dyspozycji oczek na małych listkach 8-mym i 10-tym.

Teraz robota idzie po linji poziomej wedle schematu: Duży listek łączony na lewo z poprzednim dużym przy pomocy jego oczka z prawej strony. Po nitce, mały listek łączony wierzchołkiem z oczkiem wierzchołkowem przeciwległego małego listka. Po zrobieniu 18-tej pary listków dużych z małymi, duży ząb koronki jest gotowy.

Przechodząc do wykonania następnego zębu, robi się blisko siebie dwa małe, płaskie listeczki, a po nich w odległości analogicznej do poprzedniego normalnego, małego listka, pierwszy mały listek następnego zębu z jednem oczkiem wierzchołkowem. Jak łatwo się domyślić i jak wyżej wspomniano, każdy duży listek ma teraz już tylko jedno oczko z prawej strony, gdyż po drodze łączy się on bokiem z oczkiem bocznem listka poprzedniego (pierwszy z płaskim listkiem brzegu koronki), a wierzchołkiem z wierzchołkiem dużego listka poprzedniego zębu. Reszta roboty nie kryje już żadnych tajemnic.

Wzory 4—6 reprodukujemy do samodzielnego studjowania. C. d. n.

Dokończenie ze str. 29.

Dwunasta w południe, to hasło bezwzględnego opuszczania biur i magazynów w Paryżu. Ruch na ulicach, w metrach, tramwajach i autobusach rośnie dziesięciokrotnie. Wszyscy spieszą się na „dejeuner". Obserwujemy kobiety.

Urzędniczki, midinetki... W piosence lub w filmie widzimy je roześmiane, wesołe, pędzące na spotkanie z „ami", który uwozi je w południe autem do Lasku Bulońskiego, lub jakiejś wytwornej restauracji... Ale to tylko w poezji, lub na ekranie. W życiu jest całkiem inaczej.

Kilkaset franków dochodu miesięcznego, odległe od centrum miejsce zamieszkania, a w południe tylko dwie godziny przerwy w pracy. Dwukrotny przejazd do domu, to wydatek za duży, choć ekonomiczniej jadać w domu. Więc szuka się tanich restauracyjek. Gdy się jest młodym, żołądek strawi wszystko, co za te kilka franków podadzą.

* * *

Anne-Marie, sprzedawszyni w jednym z dużych magazynów, zarabia 850 fr. miesięcznie. Mieszka daleko: w południe jada gdzieś wysoko na piąterku w dużej sali dziwnej restauracji. Stoły niczem nie nakryte. Mnóstwo osób porusza się wzdłuż grubych sznurów, które regulują ruch i ułatwiają krążenie od bufetu do stołów i kasy. Na prawo kontuar, przy którym rozdziela się potrawy. Otrzymujemy cynkowe talerze, a na nie żądane potrawy z karteczkami do kasy. Po spożyciu śniadania za 5 fr., przejście obok kasy, zapłata. Nikt tu nikomu nie usługuje. Niema garderoby na rzeczy; szybkość, z jaką każdy je i wychodzi, jest zadziwiająca. Ale jakże tu smutno....

Pozostały czas spędzić można zależnie od dzielnicy, albo w salonie dzienników wielkich magazynów, albo nawet w kościele, jeżeli pogoda nie pozwala na przechadzkę.

* * *

Simone jest sekretarką dwóch adwokatów. Zarabia tysiąc dolarów. Sterała siły i zdrowie przez długie lata pracy nad siły. Ma lat czterdzieści. W południe jada tylko kawę z mlekiem i ciastko, bo to najtaniej i najzdrowiej, a wieczorem gotuje w domu dla siebie i rodzeństwa, które utrzymuje. Czasami może sobie pozwolić na posiłek w podziemiach wielkich magazynów, gdzie jednakże niema spokoju; taka ciżba tu się zbiera na tanie śniadania. Ale jest komfort. Niklowe meble, bary z wysokiemi stołkami. Radjo.

Niedaleko dworca Montparnasse magazyny „Uniprix" mają tanią restaurację. Tam nader wysokie stoły i brak krzeseł wskazują, że tylko stojąco spożywa się potrawy. Ścisk, każdy się spieszy z jedzeniem, bo w takiej pozycji stojącej nie należy ono do przyjemności... I tu kobiet pracujących jada bardzo wiele.

* * *

Elvire jest urzędniczką w Ministerstwie. Zarabia 750 fr. miesięcznie. Nie może jadać w restauracjach, bo zepsuła sobie po trzech latach żołądek i choruje. Wraca zatem do domu, kupując po drodze prowianty i żywi się domowym sposobem. Jarzyny na wodzie. Kotlet, befsztyk — to wszystko. Owoce za drogie... Śmieje się z audycyj radjowych, kiedy pouczano biuralistki, jak gotować tanio w domu. Któż ma tyle czasu, aby wykonywać to wszystko, czego tam uczono! Tu trzeba być maszyną i szybko bez zastanowienia robić tylko najprostsze potrawy. Zawsze te same...

I nic więcej... Oto sens życia Paryżanki, pracującej na siebie i swoich, typu kobiety, która przeszła do piosenki i na ekran, której zazdroszczą wszystkie niewiasty świata.

* * *

Istnieje jeszcze naturalnie inna Paryżanka — pani domu, żona, matka.

Prowadzi życie bardzo zamknięte w kole rodzinnem, oddana sprawom domu, wychowania dzieci i pomagania mężowi w odkładaniu grosza na szarą godzinę, na rentę, na zabezpieczenie przyszłości dzieci. Ale tej najmniej się możemy przyjrzeć na ulicach Paryża. Czyni zakupy wczesnym rankiem. Jest oszczędna i nie bywa wogóle w wielkich magazynach. Spotkamy ją czasami w księgarni, bo zna i zaspokaja potrzeby kulturalne swoje i najbliższych. Spotkamy ją rzadziej w kinie, a częściej w Comédie Française, bo jest konserwatystką, kocha swój kraj i literaturę swego kraju.

Na etranżerki patrzy z zaciekawieniem, ale im niczego nie zazdrości, a kobietom, pracującym na siebie i utrzymanie swych rodzin, szczerze współczuje, dziękując losowi, że pozwoliły jej założyć dom rodziny, którego ciężar, dźwigany we dwoje, zawsze wydaje się jej łatwiejszym do zniesienia.

DO-X.

To warto poznać...

NA SCENIE.



Alicja Matusiakówna i Mieczysław Węgrzyn w komedji muzycznej „Krawiec w zamku", granej przez teatr krakowski.

Krakowski teatr im. J. Słowackiego w ostatnie dni karnawału dał jako premjerę komedję muzyczną **„Krawiec w zamku"** z tekstem Armont'a i Marchand'a z muzyką Steinbrechera. Jest to wcale wesoła i miła farsa, która jednakże wyreżyserowana została zbyt serjo w stylu komedjowym. Za mało również uwzględniono ilustrację muzyczną, która zresztą słabo została przygotowana. Ale za to otrzymała sztuka kapitalne dekoracje Tadeusza Orłowicza, który już trzecim swym występem na scenie krakowskiej w roli plastyka teatralnego zadokumentował, że już dziś zaliczać go należy bezwarunkowo do czołowych inscenizatorów plastycznych polskich. O jego twórczości pisze zresztą „As" osobno. — Obok Orłowicza największy i zasłużony sukces odnosi Mieczysław Węgrzyn, odtwarzający niezrównanie lekko postać krawca; oszałamia wprost żywiołową bezpośredniością i humorem. Rozkoszną sylwetkę, utrzymaną w stylu groteskowym, zdegenerowanego arystokraty stworzył W. Biegański, doskonałą jego partnerką jest A. Kłońska, sympatycznie uwodzicielską wdówkę gra gość warszawski J. Sokołowska, a ponadto główne role komedji odtwarzają Matusiakówna, Niedziałkowska, Tatarski, Macherski, Woźnik, Wroński i in. Piękne są również tualety pań. **(b).**

NOWE KSIĄŻKI.

Przybyła obecnie do Polski i wygłasza odczyty w Warszawie i w Krakowie najznakomitsza przedstawicielka współczesnej literatury holenderskiej, dobrze znana i w Polsce autorka trylogji „Kobiety z rodu Cornveltów" — Jo van Ammers-Küller.

Ammers-Küller jest równocześnie wybitną działaczką społeczną, pracującą w organizacjach kobiecych i życiu kobiet poświęcającą zarówno swą twórczością literacką, jak i pracę codzienną. Am-



Jo van Ammers-Küller.

mers-Küller jest wrogiem rozwodów, zdecydowaną zwolenniczką małżeństwa, jako wyniku miłości, gdyż jej zdaniem, rodzina jest najważniejszą komórką w życiu społecznem.

Najwybitniejszem dziełem holenderskiej powieściopisarki jest wspomniana trylogja, której akcja rozpoczyna się w XIX. wieku, a kończy się w czasach dzisiejszych. Pozwala to autorce na odmalowanie holenderskiego klimatu i przemian społecznych na przestrzeni kilku dziesiątków lat i ich refleksem na życie ludzkie.

Autorka **„Cornveltów"** rozpoczęła swą twórczość pisarską już w 15-tym roku życia, a pierwszemi jej czytelniczkami były koleżanki. Jedna z jej nowel, w której była akcja miłosna ukazała się w druku, co wywołało wielkie oburzenie rodziców, tak, że oddali ją do zakładu wychowawczego. By wyrwać się stamtąd wyszła zamąż, została matką dwojga dzieci i poświęciła się ich wychowaniu. Zaczęła pisać sztuki teatralne, które częściowo wystawiano, ale nie miały powodzenia. Pierwszy sukces odniosła **„Maskaradą"**, ale dopiero pełny i zasłużony rozgłos przyniosła jej trylogja „Cornveltów", która do dziś dnia tłumaczona jest na 12 języków. Rekordowem powodzeniem cieszy się w Niemczech, gdzie nakład tej powieści osiągnął ćwierć miljona egzemplarzy. Również w Holandji książka ta osiągnęła rekord poczytności. Obecnie Ammers-Küller pracuje nad nową trylogją, której pierwszy tom opuścił właśnie prasę drukarską, drugi jest przygotowany, a nad trzecim dopiero pracuje. Trzeci tom poświęcony będzie Napoleonowi, który w Holandji jest znienawidzoną postacią, gdyż zniszczył ten kraj.

Ammers-Küller jest również autorką zbioru szkiców biograficznych p. t. **„Portrety wielkich kobiet"**. Duże zdziwienie naszej krytyki wywołał brak w tym zbiorze portretu Curie-Skłodowskiej. Obecnie powieściopisarka holenderska opowiada w Polsce, że właśnie Curie-Skłodowska nie pozwoliła na pisanie o sobie, choć ona bardzo o to prosiła. Curie-Skłodowska oświadczyła, że pozwala jedynie pisać o swych pracach, ale nigdy o sobie. Piękny ten rys naszej uczonej wart podkreślenia.

Ideologja Ammers-Küller da się zawrzeć w zdaniu, wyrwanem z jej powieści **„Cicha walka"**, które brzmi:

„Według mnie najgłębsza wspólnota pomiędzy mężczyzną a kobietą jest wszystkiem, co może stanowić sens życia i jego cel". **(b).**

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 14 lutego.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa.
10.40 Opera „Pajace" z płyt.
12.03 Poranek muzyczny.
14.00 Reportaż z życia.
14.30 Zespół wokalny „Te 4".
15.00 Koncert w wykonaniu orkiestry wojskowej.
15.30 „Audycja dla wsi".
16.30 Kurant staroświecki z utworów Wł. Syrokomli.
17.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
19.00 „Spotkanie Wyspiańskiego z Żeromskim" — szkic lit.
19.20 Motywy hiszpańskie w muzyce francuskiej.
21.00 „Na wesołej lwowskiej fali".
21.30 Recital fortepjanowy Bolesława Woytowicza.
22.00 Rozrywkowy koncert wieczorny.

Poniedziałek, 15 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkól.
12.03 Koncert orkiestry wojskowej.
15.15 Duet Pills—Tabet i orkiestra Edith Lorand.
15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.30 Orkiestra Mandolinistów „Sempre Vivo".
17.00 „Udział Polaków w odkryciach geograficznych".
17.15 Koncert solistów.
17.50 „Gdy śmierć odpoczęła" — pogadanka.
18.50. „Zjadłoby się zjadło, gdyby z pieca spadło" — dialog.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 Koncert popularny.
21.30 Koncert w wyk. Ukraińskiego Chóru.
22.00 Koncert symfoniczny.
23.00 Orkiestry Harry Roy'a i Hanza Huppertza (płyty).

Wtorek, 16 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Włodzimierz Horowitz i Yehudi Menuhin (płyty).
15.15 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
16.30 Najnowsze piosenki filmowe (płyty).
17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich".
17.50 „Skrzynka zażaleń Nr. 2" — monolog M. Hemara.
19.00 „Dyskutujmy": „Czy demokracja uszczęśliwia".
19.20 Koncert orkiestry wojskowej.
20.15 Koncert symfoniczny.
22.30 „Zima poetycka" — kwadrans poezji.
22.45 Muzyka z kawiarni „Cafe-Club".

Środa, 17 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkól.
12.03 Koncert rozrywkowy.
15.15 Koncert rozrywkowy (płyty).
16.10 „Tomasz Alva Edison" — słuchowisko dla dzieci.
16.35 Koncert solistów.
17.00 „Sytuacja na Bałtyku w roku 1920 a dziś" — odczyt.
17.15 „Z dziejów operetki" — reportaż muzyczny.
19.20 „Schubert-Mendelssohn" (płyty).
19.55 Lekkie piosenki (płyty).
21.00 „Opowieści o Chopinie" — wieczór X.
21.45 Wolfgang Amadeusz Mozart: Divertimento nr. 17 D-dur.
22.35 Mała Orkiestra Polsk. Radja.

Czwartek, 18 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych.
12.03 Trzy słynne orkiestry symfoniczne.
15.15 Muzyka lekka w wyk. Małej Orkiestry P. R.
16.20 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci.
16.35 „Śpiew na Narwi" — obrazek muzyczym.
17.15 „Płyty dla znawców".
19.00 „Złowrogi portret" — premjera słuchowiska.
19.30 „Na swojską nutę".
21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich".
22.00 Muzyka lekka.
22.30 Koncert muzyki lekkiej.

Piątek, 19 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert Małej Orkiestry P. R.
15.15 Paderewski i Kreisler jako kompozytorzy i wykonawcy.
16.30 „Głosy przyrody" — koncert.
17.00 „Współczesna Portugalja" — feljeton.
17.15 Recital fortepjanowy Kazimierza Kranca.
19.00 „Kowalik skończył służbę" — opowiadanie.
19.20 „Z pieśnią po kraju" — audycja.
19.45 „Klarnet i saksofon" — VII pogadanka.
20.10 Opera „Aida" Verdiego.
23.00 Muzyka lekka.

Sobota, 20 lutego.

6.30 Audycja poranna.
11.30 „Śpiewajmy piosenki".
12.03 Miniatury instrumentalne.
14.30 „Poczajów" — słuchowisko dla dzieci.
15.15 Najpiękniejsze głosy" (płyty).
16.15 Koncert orkiestry wileńskiej.
17.00 Koncert dawnej muzyki.
19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy.
19.30 „Wieczór przy mikrofonie".
22.00 Recital śpiewaczy Halmi Einer.
22.30 Mała Orkiestra Polskiego Radja.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.